Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

„(...) na zgliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc"

Maja Lidia Kossakowska

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

WEJHEROWO 2022

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie

XVII Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2022

W y d a w c a:

Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie

Opracowanie, foto i skład komputerowy:
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powałka
Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk:Drukarnia internetowa

ISBN 978-83-940674-7-2

Drodzy Czytelnicy!

Wejherowski Konkurs Literacki „Powiew Weny” został zainicjowany kilkanaście lat temu jako propozycja dla początkujących lokalnych twórców szukających okazji do zaprezentowania swoich zdolności literackich i umiejęności posługiwania się piórem przed miejscową społecznością. Kierowany był w pierwszym rzędzie pod adresem uczniów starszych klas szkół podstawowych oraz młodzieży szkół średnich. Okazją ku temu była kolejna rocznica utworzenia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie. Zainteresowanie konkursem spowodowało, że organizatorzy postanowili ponowić go z nastawieniem na systematyczną cykliczność i była to słuszna decyzja.

Początkowo miała to być szansa dla osób związanych z Wejherowem i powiatem wejherowskim. Jednak napływające prace z różnych stron kraju spowodowały, że nie można było zamknąć się tylko w swoich ścianach. Mimo, iż pojawiały się chęci na rozwinięcie konkursu na skalę ogólnopolską, organizatorzy postanowili ograniczyć zasięg konkursu do granic województwa pomorskiego, choćby po to żeby stworzyć nagrodzonym osobom możliwość dojazdu na ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród. Siedemnaście zrealizowanych edycji „Powiewu Weny” potwierdza, że konkurs wciąż cieszy się zainteresowaniem i jest potrzebny. Cieszy rozwój literacki nagradzanych wcześniej autorów, a także pojawianie się nowych talentów.

Tegoroczny konkurs zainspirowany mottem z twórczości zmarłej przedwcześnie w wyniku pożaru pisarki fantasy Mai Lidii Kossakowskiej spotkał się z pozytywnym odbiorem piszących. Cytat z jej twórczości, że “(…) *na gliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc*” zachęcił do udziału w konkursie 27 osób, z tego 7 to młodzież. Owe zgliszcza siłą swej symboliki u niejednego

z twórców wywołały skojarzenia z brutalną, bezpodstawną i niesprawiedliwą wojną prowadzoną przez dużo większą i silniejszą militarnie Rosję na Ukrainie. Znalazło to odzwierciedlenie w nadesłanej na konkurs twórczości, jak choćby w wierszach Hanny Makurat-Snuzik i Magdaleny Kubiak, czy w opowiadaniu Aleksandry Jung o bohaterskiej śmierci kilkuset samurajów na górce Shiroyama w Japonii, którzy nie skapitulowali przed wielokrotnie większą armią cesarza i wybrali honorową śmierć, zamiast niewoli. W innych utworach zgliszcza mają charakter symboliczny i odnoszą się do dramatycznych sytuacji, w których bohaterowie utworów odradzają się podnosząc się z życiowych porażek. Cieszy wrażliwość literacka, ale i optymizm piszących oraz wiara w pozytywne przemiany zachodzące w człowieku, ale boli skrzecząca rzeczywistość, jak przykładowo postać brutalnego ojca w opowiadaniu Amelii Gappy, który znęca się nad żoną i synem. Obok takich obrazów trudno przejść obojętnie, bo nie wykluczone, że tak dzieje się gdzieś obok nas. Generalnie twórczość tegorocznego konkursu bogata jest w przeżycia i emocje, a także interesujące wątki z życia wzięte i zachęca do czytania.

Bardzo dziękuję za udział w konkursie wszystkim twórcom, którzy nadesłali swoje prace na “Powiew Weny 2022”. Z całego serca gratuluję nagrodzonym literatom ufając, że za rok spotkamy się znowu - z być może jeszcze bogatszym i piękniejszym plonem wierszy i opowiadań. Jednocześnie wyrażam uznanie za pracę w komisji konkursowej: jej przewodniczącemu – Danielowi Odiji oraz członkom – Ewelinie Magdziarczyk-Plebanek, Michałowi Jelińskiemu i Piotrowi Schmandtowi, którzy dołożyli wszelkich starań, aby obiektywnie ocenić plon konkursu.

Prezydent Miasta Wejherowa
Krzysztof Hildebrandt

WYNIKI
XVII edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„Powiew Weny 2022" z 22 listopada 2022 roku

PROZA

w kategorii - dorośli

I nagroda: za opowiadanie pt. *Zanim odejdę*
- Monika Kubisiak z Wejherowa;

II nagroda za opowiadanie pt. *Gloria Victis*
- Dominik Kasicki z Gdańska;

III nagroda za opowiadanie pt. *Przebaczenie*
- Paulina Salamucha z Wejherowa.

w kategorii - młodzież

I nagroda za opowadanie bez tytułu
- Amelia Gappa z Linek;

II nagroda za opowiadanie pt. *Gdy czas już się nie liczy*
- Maja Werczyńska z Gdyni;

III nagroda za opowiadanie pt. *Mahapralaja*
- Aleksandra Jung z Sopotu.

POEZJA

w kategorii - dorośli

I nagroda za wiersze pt. *Nie można wierzyć synoptykom*, *Nieustraszone kwiaty*, *Cień gra w ciemno* - Hanna Makurat-Snuzik z Gdańska;

II nagroda za wiersze pt. * * *, *Już nie haiku choć jesienne, Za kratami słów* - Magdalena Kubiak z Wicka;

III nagroda za wiersze pt. *Koci pazur jesieni*, *Składy*, * * *,
- Małgorzata Borzeszkowska z Wejherowa;

w kategorii młodzież

Nagroda za wiersze pt. *Rozkwit - wiosna*, *Susza - lato*, *Rozpad - jesień*
- Weronika Spławińska z Tczewa;

Zanim odejdę…

Kiedy był mały, starzy ludzie opowiadali, że gdy komuś wali się świat, jego osobisty Anioł Stróż przywdziewa bojowe barwy i rusza stawić czoła każdemu, kto jest za to odpowiedzialny. Wystarczy cierpliwie poczekać, przykuć się mocno do czegoś i dać mu szansę, trochę czasu, nie uciec zbyt prędko, a będzie lepiej, przyjdą jaśniejsze myśli, cieplejsze uczucia, da się dalej żyć. Byle nie uciec…

Siedząc samotnie na skarpie wpatrywał się właśnie w niebo. Chmury niespiesznie przesuwały się w prawo, co chwila zasłaniając słońce. Jego chłodne już promienie na przemian w jesiennym wiatrem muskały mu twarz, a morska bryza szczypała w policzki jakby chciała przywołać do porządku. Przecierając co jakiś czas wilgotne oczy wypatrywał swojego Anioła Stróża. Miał do niego żal… Mógł mu darować wiele drobnych spraw, ale zawsze był przekonany, że w tych najważniejszych, zasadniczych, będzie go pilnował jak na Anioła przystało, a tu nic, jak zwykle… Chętnie by z nim pogadał, wygarnął mu parę rzeczy. Na przykład to, gdzie był, jak chłopcy z sąsiedztwa obrzucili go zgniłymi jabłkami jak wracał ze szkoły, albo to z ojcem, co nigdy mu nie uwierzył, że to nie on pożyczył auto i skasował prawą stronę – a przecież nie miał z tym nic wspólnego. Całe wakacje musiał potem pracować u niego w warsztacie i nie pojechał na obóz w góry. Zawsze chciał o tym pogadać, ale dziś to całkiem straciło znaczenie. Dziś wpatrywał się w niebo i zastanawiał, czy już się obudził, czy doszedł do siebie na tyle, żeby zdać sobie sprawę z tego, co przegapił, czy dotarło do niego, jak wielkiego zaniedbania się dopuścił, czy chce strzelić sobie w łeb tak jak on tu - na ziemi. Czy wreszcie w końcu ma zamiar się ruszyć, jakoś to naprawić i mu pomóc, czy to się w ogóle da zrobić. Szukał jego ręki, gestu, który mówi: Zaraz, czekaj, już to załatwiam, sorry, tylko chwila, zaraz to poukładam i będzie jeszcze dobrze. Gdzie… on… jest?!

Wczoraj stracił twarz. Ale nie to go tu przyprowadziło. Stracił też sens życia. Przede wszystkim jednak stracił kogoś, kto był jego światłem, oddechem

i wszystkim tym, czego człowiek potrzebuje do życia – stracił Zosię. Wiele razy chciała odejść, ale zawsze jej to mijało. Wiele razy była na niego zła, jednak doskonale wiedział, że za bardzo go kocha, żeby cokolwiek zmienić. Może dlatego nie brał tego do siebie. Wczoraj znów się pokłócili. O co? Właściwie o nic. Jak teraz o tym pomyśli, to krew go zalewa, że to w ogóle mógł być dla niego jakiś problem. Swoją drogą to zastanawiające, że parę sekund może nagle jak rozbłysk świadomości tępemu jak on człowiekowi wyjaśnić niezbicie, co jest w życiu ważne, a co nie ma najmniejszego znaczenia. Zośka wychodziła z domu i nie mogła znaleźć kluczy. Rzucił coś, że jak zwykle. Ona, że to on na pewno gdzieś je przełożył, bo sprzątał. On że nie potrafi zapanować nad swoim bałaganem. Ona… w końcu wyszła spiesząc się, usłyszał tylko trzaśnięcie drzwiami, a chwilę potem ten łomot. Nawet nie przeszło mu przez myśl, że to ona. Dopiero po parunastu minutach krzyki na klatce schodowej odciągnęły go sprzed monitora laptopa. Zanim doszedł do drzwi, rozległo się od ich strony nerwowe walenie. ZOŚKA!!! Nie ma pojęcia, co było dalej. Pamięta tylko rozmowę z lekarzem – uszkodzony rdzeń kręgowy, liczne złamania, wylew, obrzęk mózgu… mówił coś jeszcze, ale dalej już nie słuchał… stan bardzo ciężki. Pamięta biel, pikanie monitorów i jej miarowy oddech, i tę ciszę… nigdy ich nie zapomni. Zosia chwilami odzyskiwała przytomność, kilka razy udało mu się jeszcze spojrzeć w jej piękne, piwne oczy, wyszeptać: Przepraszam. Ledwo wyczuwalnym ruchem pogładziła go po dłoni… jak mógł być takim kretynem. Zamiast wdawać się w te bezsensowne przepychanki słowne mógł ruszyć tyłek i znaleźć je te klucze, nie musiałaby tak biec na SKM-kę, nie pośliznęłaby się na tych przeklętych schodach, nie umierałaby.

Dziś rano był znów w tym szpitalu. Z przechowalni odebrał jej rzeczy. Znów poczuł jej zapach… Torebkę zabrał ze sobą na tę skarpę. Zawsze nosiła tam tyle rzeczy. Szukając wśród obłoków Anioła, wyciągał z niej po kolei Zośki skarby. Różową pomadkę, kalendarz, ice tea, lusterko z kwitnącą jabłonią, zszywacz, okulary. Nawet je na chwilę założył. Przeszło mu przez myśl, że może nieco osłonią mu oczy i dzięki temu wyraźniej zajrzy w niebo. Gumka z turkusowym koralikiem, 5 złotych, zdjęcie z wakacji, książka… Otworzył ją. Jeszcze jej nie widział, to musiał być jakiś nowy nabytek. Pachniał farbą drukarska i jej

perfumami. Spojrzał na tytuł: Jedyna róża. Coś mi to mówi – pomyślał. Otworzył na pierwszej stronie i ku swemu zdziwieniu zauważył, że jest tak odręcznie wpisana dedykacja. Niebieski atrament, gdzieniegdzie delikatnie rozmazany, kłuł w oczy z każdą sekundą podsycając ciekawość, każąc jak najszybciej odczytać zapisane słowa: Życie jest jak kwiat róży, równie piękne. Jednak to piękno wcale nie oznacza, że jest ono bezbolesne i podpis: Nauczyciel Życia. Kto to? Nigdy mu o nim nie wspominała. No tak, bo to przecież nie jest imię i nazwisko, więc kto się ukrywa pod tym pseudonimem? Te myśli na chwilę odwróciły jego uwagę od zasadniczego celu wizyty na tej skarpie, ale ostatecznie chyba jeszcze bardziej wbiły w ziemię. Ona miała jakiegoś Nauczyciela Życia! Po co? Nie umiała żyć? Była utalentowaną dziennikarką, miała na swoim koncie publikacje w krajowych magazynach, udział w międzynarodowych projektach. Zawsze radosna, pełna energii i pomysłów, każdemu gotowa pomóc, uśmiechnięta, spełniona. Tak ją widział. Tak mu się wydawało. Właściwie rzadko się ostatnio nad tym zastanawiał. Oboje dużo pracowali, często widzieli się jedynie w drzwiach. Jezu, kiedy on z nią ostatnio rozmawiał?

Przewrócił jeszcze 2 kartki, aż natknął się na pierwsze opowiadanie, które nosiło tytuł Gitarzysta. Zaczął czytać…

W dalekiej Andaluzji, w małej wiosce położonej z dala od miasta, żył pewien stary gitarzysta. Codziennie z samego rana, gdy wieśniacy wyruszali do pracy w stronę gajów oliwnych, opuszczał swoją chatę i szedł w ślad za nimi. Następnie siadał na wzgórzu, z którego najlepiej roznosiły się dźwięki i zaczynał grać, obserwując przyrodę i ludzi. W zamian za to robotnicy częstowali go to kawałkiem chleba, to łyżką zupy, nigdy nie czuł głodu ani pragnienia, a swoim graniem umilał ludziom pracę, co dawało mu satysfakcję i poczucie, że jest komuś jeszcze potrzebny. Pewnego dnia nieopodal winnicy, u stóp góry, przechodził wilk. Rozglądał się na boki, prawdopodobnie był głodny i szukał jakiegoś pokarmu. Góra była dość wysoka, a widok z niej dobry, więc gitarzysta mógł w miarę bezpiecznie pozostać na swoim miejscu i obserwować, co się wydarzy. Lis po chwili wędrówki położył się w krzakach i znieruchomiał. Za moment na polanie pojawiła się sarna. Jej zgrabne ruchy zachwyciły gitarzystę, ale po krótkiej chwili zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w którym nieopatrznie się znalazła.

Było już jednak za późno, by ją ostrzec. Zanim zdążył pomyśleć o jakimś sposobie na uratowanie zwierzęcia, wilk już rzucił się na nią, by po chwili szarpaniny doprowadzić do śmierci. Gdy przestała się ruszać i walczyć, zaciągnął ją w krzaki. I wyglądało na to, że teatr w świecie przyrody się zakończył. Nic bardziej mylnego. Za kilkanaście minut ścieżką koło polany przechodziła niedźwiedzica z małym niedźwiadkiem. Wilk zaczął ją obserwować z zarośli. Schowała małego w krzakach i oddaliła się w poszukiwaniu pożywienia. Wtem w pobliżu pojawił się wilk. Musiał wyczuć niedźwiadka, bo skradał się powoli, starając się nie zdradzić swojej obecności. Niedźwiedzica jednak była bardzo czujna. W mig wyczuła niebezpieczeństwo i raptownie odwróciła się, kilkoma susami wróciła na miejsce, gdzie zostawiła dziecko, a następnie je przeskoczyła, miażdżąc wilka i rozszarpując go na kawałki. Gitarzysta się zadumał i zaczął rozmyślać głośno, bo myślał, że nikt go nie słyszy:

- Jakież dziwne i niezrozumiałe dla nas – niedoskonałych ludzi - są Twoje wyroki, Panie? Stworzyłeś zwierzęta. Wilk zjada sarnę, niedźwiedź rozszarpuje wilka, życie jest krótkie i w każdej chwili może nadejść jego kres, żadne Twoje stworzenie nie ma na to żadnego wpływu, ani nie potrafi swego końca przewidzieć. Po co tyle nauki, trudu, zmęczenia, żeby coś osiągnąć, jak to wszystko w jednej chwili przychodzi oddać i odejść, nic ze sobą nie zabierając?

Po chwili usłyszał zza pleców:

- A czemu uważasz, że to nie ma sensu? Czy sarna umierając, nie dała wilkowi siły do dalszego życia? Czy niedźwiedzica broniąc małego, nie ochroniła życia młodego niedźwiadka, dając mu szansę przeżyć ekscytującą podróż? Każde życie i każda śmierć ma jakiś sens, tylko człowiek nie zawsze potrafi je zrozumieć. Czasem potrzebuje wielu lat, żeby czas przysypał rany i pozwolił wyraźniej widzieć wszystkie strony egzystencji. Zamiast zastanawiać się nad tym, dlaczego ktoś umarł, pomyśl co dzięki niemu uzyskałeś i jak możesz tego użyć, żeby to pomnożyć, żeby on, spoglądając z nieba, uśmiechał się do ciebie i nabrał przekonania, że warto było się tu męczyć.

Podniósł wzrok znad książki. Znów popatrzył w niebo. Co to miało być? Jakiś dziwny zbieg okoliczności? Zawsze mocno stąpał po ziemi i nie wierzył w teorie znaków, był przekonany, że nic się nie dzieje przypadkiem, a ta książka zaczęła go

poważnie niepokoić. Wyczuł rosnący puls. Od wczoraj czuł się generalnie źle, żył w jakiejś malignie, słabo odbierał rzeczywistość i nie bardzo wiedział, co się dzieje wokół. Wziął to wszystko pod uwagę, ale fakt, że miała w swojej torebce książkę o śmierci dał mu do myślenia. I ten Nauczyciel Życia nie dawał mu spokoju. Co tu się dzieje? Gdzie ty u diabła jesteś, mój Aniele? Wciąż nic? Nie ma cię, no jasne, zamiast przyjść i coś wyjaśnić to cisza, brak odwagi? Jakiś mało męski z ciebie gość…

Odłożył książkę i po raz kolejny włożył rękę do torebki. Tym razem w dłoni zobaczył białą kopertę zaadresowaną: Artur. Co? Niczego już nie był do końca pewny, ale resztki świadomości podpowiadały mu, że to do niego. Tak, to on jest Artur, a ten charakter pisma znał doskonale, ona to napisała, nikt inny tylko Zośka. Ale jak to? List? Przecież razem mieszkali, widywali się niemal codziennie, przecież tuż przed tym rozmawiali… czemu list? Do niego… Zadrżał…Niepewność i brak danych dosłownie zwaliły go z nóg. Zachwiał się, poczuł silne zawroty głowy. Podparł się jedną ręka o podłoże, żeby złapać równowagę. Szum w uszach, dreszcze … nie wiedział, co robić, jak to opanować… Bał się, tak, on bał się. Był przekonany, że to nie dla niego, że już nie umie, że jest tak dobry w graniu w życie, że to mu się nie przytrafi nigdy, a teraz trzymał tę białą kopertę i się bał. Całkiem jak jakiś dzieciak. Idąc tu nie sądził, że przytrafi mu się coś takiego. Chciał po prostu skoczyć i o wszystkim zapomnieć, ale teraz stał i się trząsł. Nie umiał podjąć prostej decyzji: Co dalej? Co w niej mogło być? Dlaczego miała w torebce przygotowany list? Czego się z niego dowie? Cokolwiek to nie jest, to stanowi wartość ostateczną i nienaruszalną, bo jej już nie ma. Nie będzie mógł z nią tego przegadać. Przeczyta TO i zapadnie klamka, los postawi kropkę nad i, tak już zostanie. Post scriptum, na które nie ma wpływu. Poczuł jak pot spływa mu po skroni, nadchodziło ciepło. Drżenie powoli ustępowało, stopniowo odzyskiwał panowanie nad rękami i językiem. Otworzył kopertę.

Artur, Kochanie!

Skoro to czytasz, chyba mnie już nie ma. Wiem, że mi tego nie darujesz, zawsze to ty musiałeś mieć rację i postawić na swoim, może dlatego dowiadujesz się o wszystkim dopiero teraz. Byłam chora. Jeśli interesują cię szczegóły, odwiedź

doktora Walkowskiego. O wszystkim wie, podpisałam upoważnienie, żeby cię poinformował o moich wynikach. Miałam przed sobą 2-3 miesiące życia. Nie chciałam się żegnać tak długo, wybacz, to było ponad moje siły. Musiałam to zrobić inaczej. Wiem, że wszystkie ważne decyzje mieliśmy podejmować razem, ale tę … może kiedyś ją zrozumiesz…

Zanim na dobre odejdę, muszę Ci powiedzieć o czymś, co ukrywałam przez kilka ostatnich lat. W moim laptopie znajdziesz folder The End. Jeśli chcesz, przejrzyj go. Znajdziesz tam zdjęcia dziewczyny. Ma na imię Ewa. Kiedyś pracując nad materiałem o nieletnich trafiłam właśnie na nią. Opowiadała mi swoją historię. Czułam, że mnie zna, ale ja nie miałam pojęcia kim jest. Długo to trwało, ale wiesz, że jak mi zależy na jakiejś informacji, to dopnę swego. W końcu się przyznała. Od dawna nas obserwowała, wiedziała zaskakująco dużo… Ewa jest Twoją córką. Nie chce mieć z Toba kontaktu. Jest świadoma, że nie masz pojęcia o jej istnieniu, ale chciała żeby tak zostało. Przysięgłam jej, że zdradzę jej tajemnicę jedynie na chwilę przed śmiercią, jeśli umrę przed tobą. Zgodziła się. To nie był żaden podstęp, minęło prawie 6 lat, wtedy jeszcze tak naprawdę nie sądziłam, że kiedykolwiek będę mogła ci o tym powiedzieć. Ale jak widać los lubi płatać figle… może dobrze, wszystko ma jakiś sens…. Ewa 3 miesiące temu urodziła synka. Nie mają się gdzie podziać…. Starałam się im pomóc, ale… już nie dam rady. Jak ochłoniesz, na jednym ze zdjęć znajdziesz jej numer… albo w moim telefonie – Ewa Welter. Ty na pewno będziesz wiedział co zrobić, dasz sobie radę. Masz bardzo ważną misję do spełnienia… dziadku.

Pa, do zobaczenia po drugiej stronie…

Twoja Zośka

Odłożył kartkę. Zanim zdążył zareagować, wiatr porwał ją i uciekając ze skarpy, poszybowała gdzieś nad wodą, wirując beztrosko w powietrzu, nieświadoma siły zapisanych na sobie słów. A on wstał. Otrzepał się. Jego oczy stały się dziwnie bezwarunkowe. Nie było już w nich widać prostego do odczytania smutku. Zdecydowana mina i spojrzenie utkwione w horyzont nadawały mu wyglądu dostojnego, a zarazem silnego mężczyzny. Nie było śladu po zagubieniu, drżących dłoniach i bezradności. Teraz dziarsko przemierzał pas

ziemi za skarpą. Zrobił skłon, odwrócił się zdecydowanym ruchem i jeszcze raz spojrzał przed siebie. Zaczął iść, coraz szybciej i szybciej. Jego buty uderzały rytmicznie o zmarznięty nieco grunt, wybijając rytm, który wraz ze zbliżaniem się do skarpy niepokojąco przyspieszał. Serce mu waliło, mieszając się z odgłosem dochodzącym znad ziemi, silny, głośny oddech dopełniał tej harmonii brzmień, a buczenie wiatru i uderzenia fal na dole dopełniały całości koncertu. Był jak pociąg zbliżający się do tunelu. Jego stukot staje się coraz lepiej słyszalny, bardziej wyrazisty, wręcz bolesny, aż nagle przekracza ścianę wykopu i nagle nastaje spokój. Jeszcze 3, 2, krok…

Przed nim był już tylko błękit i wolność…

* * *

Kiedy zwijał lotnię, wiedział już, co ma zrobić. Wyprawa pod nieboskłon odniosła oczekiwany skutek. Może faktycznie mieszkają tam jakieś Anioły, tylko mają za słaby głos, żeby ich szepty docierały do śmiertelników na ziemi? Szybując nad błękitem morza szukał siebie na nowo i chyba odnalazł. Ewa… *678 945 765.*

– Dzień dobry, jestem Artur.

– O Boże…

Monika Kubisiak

II nagroda w kat. dorosłych

Gloria Victis

To już trzeci raz w tym tygodniu, kiedy nogi poniosły mnie pod bramę cmentarza. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy potknąłem się o wystające korzenie starych lip. Przenikały pod murem, kruszyły chodnik, podkładały się pod podeszwy, aby obcy pochylili głowy z szacunkiem nad tymi, co zostali zwyciężeni.

Korciło mnie, żeby poodgarniać z chodnika suche liście i gałązki, poustawiać przewrócone znicze i wymienić uschnięte kwiaty na świeże w wazonach. Dlatego omiotłem wzrokiem drzewa i krzewy, strzepnąłem pyłek z przekwitłych żonkili. Poszedłem dalej po wypolerowanych płytach. Można przebiec po nich jak po pasie startowym, ale zamiast wzbić się do nieba, trafia się na końcu na złamany drewniany krzyż. Lepiej zatem skręcić w którąś z kwater i przejść się wśród rzędów identycznych pomników, odlanych zapewne z jednej formy. Stoją dumnie, spoglądając w przeszłość. Na niektórych zatarły się wytatuowane nazwiska i daty śmierci.

Wszystko tu było dopasowane do siebie. Groby do kwater. Zmarli do grobów. A ja miałem poczucie, że nie pasowałem ani do swojego ciała, ani do swojej duszy. Te są moimi złamanymi krzyżami na końcu cmentarza.

Na kilku nagrobkach wisiały niedbale rzucone kurtka, bluza i dwie pary jeansowych spodni. Suszyły się w porannym słońcu, a targane wiatrem rękawy i nogawki machały do mnie nieśmiało. Na ramionach krzyży wisiały skarpetki. Złożyłem rzeczy w kostkę i odłożyłem na najbliższą ławkę. Właściciel ubrań z pewnością zdziwi się, gdy wróci do życia. Na razie pochrapywał pod grobowcem Obrońców Poczty Polskiej, ściskając w dłoniach pustą butelkę po wódce.

Przystanąłem po drugiej stronie pod losową tablicą z nazwiskiem ofiary. Trzydzieści trzy lata. Tyle co ja. Pamięć o jego przedwcześnie zakończonym

życiu przetrwa na kartach historii, których nie zetrze ani wiatr, ani czas, ani pokruszony beton.

A co pozostanie po mnie?

Nie potrafię wypełnić przekazu pocztowego, bo nie mam czego i komu wysłać. Dla mnie priorytetem jest się napić. Jak nie wypiję do piętnastej, to potem do końca dnia wszystko mi się wlecze, jak listonosz pomiędzy blokami z nieodebranymi poleconymi. W telegraficznym skrócie rzecz ujmując, wiele w życiu nie osiągnąłem. Nawet moja matka miała większe sukcesy, kiedy była w moim wieku: dziesiątka dzieci, rak krtani i komornik na karku.

Nagle potrącił mnie chudy chart. Jego właściciele robili mu zdjęcia na tle pomników i sobie również. Widziałem ich kilka dni wcześniej, gdy skracali sobie drogę do galerii handlowej, idąc przez cmentarz. Teraz wracali z torbami, na których mieniły się loga znanych marek. Mieli na sobie drogie, puchowe kurtki, a na nadgarstkach błyszczały złote zegarki i łańcuszki, które odbijały się na tle szarych pomników. Widocznie było to dobre tło dla zdjęć albo akurat wiosenno-cmentarny pejzaż dawał więcej wyświetleń na instagramie. Wyglądali na takich, co mają ciepło w domu, dużo na koncie, a zamiast płynu mózgowo- rdzeniowego, przelewa im się uryna w głowach.

Mężczyzna rzucał kijem, a pies aportował. Wołali do niego jak do małego dziecka i śmiali się do rozpuku, gdy załatwiał się na okoliczne groby. Ale porządek musi być. Tak mówiła mama, nawet wtedy, gdy nie mieliśmy łazienki i szczaliśmy do plastikowego wiadra za kotarą. Wziąłem więc do ręki kij i stanąłem niezauważony za ich plecami.

Kiedy ustawiali się do kolejnego zdjęcia, rzuciłem kij na ulicę. Chart z wywieszonym jęzorem wybiegł za bramę cmentarza wprost pod nadjeżdżający samochód. Pisk, trzask, dźwięk klaksonu, smród spalonych klocków hamulcowych i nagle cisza. Lubię ciszę.

– To ty! To twoja wina – ryknął mężczyzna i rzucił się na mnie.

Wtedy zatrąbiły samochody na ulicy, a on zatrzymał się w połowie prawego sierpowego i puścił moją kurtkę, której zamek zaczął wrzynać mi się w szyję.

Jego partnerka padła na kolana, na wyślizgane płyty i spojrzała błagalnie w niebo, ale nikt do niej nie przemówił, więc sama krzyknęła.

– Zabiłeś go! Morderca! – czołgała się po alejce w stronę ulicy z twarzą przy ziemi, jakby szukała nadziei, której ja sam od dawna nie spotkałem, więc nie wiedziałem jak mogłaby wyglądać.

Wtedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Wzdrygnąłem się i powoli odwróciłem. Ręka była sina, a pod paznokciami miała brud.

– Ten pies naszczał wczoraj na moje ciuchy. Przychodzą tu od tygodnia i zakłócają ciszę.

– Już nie będą.

Sięgnął do spodni, a ja przestraszyłem się, że zaraz ściągnie pasek. Nie wiedziałem czego ode mnie oczekuje. Może źle poskładałem ubrania?

Tymczasem wyjął z nogawki pełną butelkę wódki. Odkręcił korek i pociągnął spory łyk.

– Widziałem cię już wcześniej. Nigdy ci tego nie zapomnę. Oni też nie. – beknął i wytarł wierzchem dłoni końcówkę szyjki butelki. Potrząsnął nią i wylał trochę na trawnik. Potem podał mi, szczerząc uśmiech. Braki w zębach zajmowała jakaś niewypowiedziana radość i ulga.

Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się piętnasta.

Dominik Kasicki

Przebaczenie

Prolog

Daniel wstał na długo przed wschodem słońca. Męczony bałaganem w głowie nie potrafił położyć jej na poduszce i spokojnie odpłynąć do krainy Morfeusza. Nieustannie analizował swoje życie i nie wyciągał z tego żadnych konkretnych wniosków.

Dodatkowy czas wykorzystał na przygotowanie śniadania dla siebie i mamy, która szykowała się do porannej zmiany w szpitalu. Kobieta krzątała się po całym mieszkaniu, a usta nie zamykały jej się nawet na chwilę, na co Daniel przewracał tylko oczami. Nie przepadał za rozmowami o poranku i za rozmowami, ogólnie.

– Powinieneś znaleźć sobie jakieś twórcze zajęcie – powiedziała, związując włosy w ciasny kok, znak rozpoznawczy pielęgniarek miejskiego szpitala. – Nie możesz cały dzień siedzieć w pokoju i rozmyślać o błędach przeszłości.

Stanęła za synem, aby położyć mu dłonie na ramionach.

– Wszyscy zrobiliśmy kiedyś coś głupiego, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Musisz ruszyć do przodu!

Daniel był zbyt zajęty obserwowaniem pyłków kurzu w powietrzu, żeby zwrócić większą uwagę na starania rodzicielki. Jej było łatwo mówić, ona nie miała sumienia, które dzień za dniem zabierało mu po kawałku duszy. Jeszcze chwila, a chłopak popadłby w nicość.

– Tak, tak – mruknął pod nosem. – Staram się coś wymyślić, ale z moją przeszłością jest trudno.

– Jest ci trudno, bo ciągle nią żyjesz. – Kobieta spojrzała na zegar kuchenny wielkimi oczami. – Muszę już lecieć! Jesteśmy w kontakcie.

Nikt nie odda mu trzech lat spędzonych w więzieniu – to wiedział na pewno. Nikt nie cofnie również czasu, nikt nie odwiedzie go od pomysłu podłożenia ognia.

To była głupia zabawa, jak mógł dać się na nią namówić? Czego mu tak brakowało, że szukał uciechy w kradzieżach, rozbojach i finalnie w podpaleniu lokalu? Daniel zadziwił samego siebie sposobem, jakim aktualnie określał całe lata beztroskich szaleństw. Więzienie zweryfikowało jego szczeniackie podejście do życia. Musiał walczyć o przetrwanie każdego dnia i nie było nikogo, kto mógłby go wtedy ochronić. Cierpienie i ból fizyczny jakoś zniósł – dzięki temu jego skóra stała się grubsza. Najtrudniej było wyłączyć sumienie i zapełnić pustkę w duszy.

* * *

Emocje w ciasnym, studenckim pokoju sięgały zenitu. Trzy młode dziewczyny wpatrzone były w ekran laptopa, raz po raz przeładowując stronę banku. Przyjaciółki trzymały się w kurczowym uścisku, wygłaszając pod nosem różnego rodzaju mantry.

Po kolejnym buforowaniu w końcu nastąpiła zmiana.

– Tak! Otrzymałaś pożyczkę! – krzyknęła jedna z nich, wprawiając ściany w lekkie drganie.

– Amanda, możesz zaczynać remont! – dopowiedziała druga. Ochoczo klaskała w dłonie z idealnie wypielęgnowanymi paznokciami.

Amanda nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nachyliła się nad laptopem i przetarła szkła okularów, ciągle niedowierzając. Poczuła, jak z serca spada jej wielki głaz i w końcu pozwala odetchnąć pełną piersią. To był dzień, na który czekała od miesięcy. Dzień nowego początku.

Zaledwie godzinę później wyciągała z taksówki ostatnią walizkę, dostawiając ją na chodniku obok dwóch pozostałych. Uregulowała rachunek u kierowcy, po czym stanęła przed budynkiem ze skrzyżowanymi ramionami. Przed nią znajdował się lokal usytuowany na parterze, widocznie usmarowany czarną smołą. Pozostałościami po pożarze sprzed czterech lat.

Z bólem w sercu i trzęsącą się dłonią otworzyła drzwi i weszła do środka. Wspomnienia wróciły do niej jak za dotknięciem magicznej różdżki. Ponownie poczuła zapach palonej kawy, której zapasy tak zaciekle tliły się na zapleczu, uwalniając cudowną woń. Oczy zapiekły ją od dymu, którego już tam nie było. Oglądała lokal z jego epicentrum, widząc przed oczami smutną prawdę – to miejsce było niczym innym, jak tylko zgliszczami po pożarze. Nie było mowy o kawiarni tętniącej życiem, która w latach świetności była punktem spotkań mieszkańców pobliskich osiedli.

Ciocia pokrywała w Amandzie wielkie nadzieje, dlatego to właśnie jej przepisała w spadku lokal i znajdujące się nad nim mieszkanie. Dziewczyna czuła presję związaną z tym zobowiązaniem, ale nie próbowała się od niego wymigać. Obiecała sobie, że postawi to miejsce na nogi i zrobi wszystko, aby tak się właśnie stało.

Rozdział I

Nawet na balkonie dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi, zapowiadające powrót kobiety do domu.

– Danielu! Mam wspaniałą wiadomość! – krzyczała podekscytowana od wejścia.

Chłopak po raz ostatni zaciągnął się papierosem. Pozwolił dymowi osiąść głęboko w płucach, by potem wypuścić go nosem w tym samym momencie, w którym matka odnalazła go na balkonie.

– Oh, tutaj jesteś. – Jedną dłonią oparła się o futrynę, a drugą położyła na klatce piersiowej, starając się opanować oddech. – Znalazłam ci świetne zajęcie.

Daniel uniósł palec, ale matka ciągnęła dalej:

– Moja znajoma ma córkę, która potrzebuje pomocy przy remoncie. Środki są ograniczone, więc nie chce angażować całej ekipy remontowej, nie zależy jej specjalnie na czasie.

– Nie, dziękuję. Nie chcę znowu bawić się w budowlankę.

Niedługo po skończeniu szkoły średniej, z braku innych pomysłów na siebie, Daniel został zmuszony przez ojca do pracy w przemyśle budowlanym. Na swoje nieszczęście miał do tego smykałkę i znał się na rzeczy. Nie był to dla niego najlepszy czas i z wielu powodów wolał o nim zapomnieć.

– Za późno, już cię zgłosiłam – oznajmiła kobieta. – Zaczynasz jutro, a tutaj masz zapisane wszystkie szczegóły zlecenia.

Podała mu kartkę, na której widniały wszystkie niezbędne informacje, zapisane eleganckim charakterem pisma. Adres wydawał mu się znajomy, ale nie przywiązał do tego większej uwagi. W gruncie rzeczy cieszył się, że mama rozwiązała jego problem i teraz będzie miał co robić. Kiedy zapadł zmrok, Daniel rozpoczął poszukiwania roboczego kombinezonu oraz zestawu narzędzi, który od samego początku towarzyszył mu na wszelkiego rodzaju budowach. Pogłaskał czule okurzone pudełko i odetchnął z ulgą. Im dłużej siedział z własnymi myślami, tym gorzej to znosił. Teraz dostał szansę na wygrzebanie się z kramu, w jakim się znajdował.

* * *

Amanda z szerokim uśmiechem na ubrudzonej twarzy patrzyła na efekty pracy. Po miesiącu walki z przeciwnościami losu, zepsutą elektryką i zniszczonym stropem udało się doprowadzić wnętrze do stanu względnej używalności. Bardzo ceniła sobie Daniela, swojego pomocnika, i jego wartościowe rady odnośnie remontu. Każdego dnia ciężko pracował do późnych godzin, nie wymagając zbyt wiele od pracodawczyni. Pracował w ciszy i skupieniu, co jakiś czas prosząc dziewczynę, aby potrzymała miarkę lub podała mu niezbędne narzędzie.

Na początku Amandzie bardzo to odpowiadało. Mogła w tym czasie zająć się całą biurokracją związaną z ponownym otwarciem lokalu; planować wystrój lub zastanawiać się nad nowym menu. Jednak kiedy uporała się z tymi rzeczami zaczęła się nadzwyczajnie w świecie nudzić. Próbowała zagadać Daniela - bez skutku. Mruczał niezrozumiale pod nosem lub tylko reagował bladym uśmiechem.

– O co chodzi z tą bandanką na głowie? – spytała, podając mu kubek kawy. Codziennie nosił na głowie czerwoną chustkę, pod którą kryły się przydługie włosy. Niektóre kosmyki wymykały się spod niej, opadając mu na oczy.

Chłopak odłożył śrubokręt, by przyjąć napój. Uśmiechnął się w podziękowaniu. Brak odpowiedzi na zadane pytanie doprowadził Amandę na szczyt tolerancji. Nie przywykła do tego, by ludzie ją ignorowali.

– Czy ty mnie nie lubisz? – zapytała wprost, a chłopak stanął przed nią nonszalancko. – Nie musimy się przyjaźnić i spijać sobie z dziubków, ale mógłbyś chociaż od czasu do czasu rzucić słowem lub dwoma, krzywda ci się nie stanie!

Daniela rozbawiła jej frustracja.

– Bandanka imituje kask, który według przepisów, powinienem nosić na głowie podczas pracy.

– Chcesz mi powiedzieć, że łamiemy prawo? – Ściszyła głos.

Na tę wzmiankę chłopak wzdrygnął się. Przytaknął i wrócił do zrywania desek ze ścian. Nie dziwił się wcale, że cały lokal tak szybko zajął się ogniem, wszędzie znajdowało się pełno łatwopalnego drewna. Amanda któregoś dnia pokazywała mu zdjęcia sprzed pożaru, który sam spowodował.

Pierwszego dnia nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy ujrzał ją w środku. Wystarczyło zaledwie jedno spojrzenie i poznał w niej dziewczynę, która jako pierwsza pojawiła się na miejscu tragedii. To ona najgłośniej płakała i odpychała od siebie strażaków, chcąc wejść do środka. Nad kawiarnią mieszkała jej schorowana ciotka, która zmarła niedługo po pożarze. Przez większość czasu to właśnie nastoletnia Amanda zarządzała kawiarnią w ostatnich miesiącach jej świetności. Ochoczo opowiadała mu o wszystkich wydarzeniach swojego życia, prowadząc monolog na cały lokal. W tak krótkim czasie zdążył poznać ją całą. Widział jej zdenerwowanie, łzy szczęścia i dziecięcą radość, gdy kolejne z zadań na liście udało się zakończyć.

On, niestety, nie mógł być tak samo wylewny. Obawiał się, że gdy otworzy się na nią, to otworzy za jednym zamachem puszkę Pandory i wyjawi jej całą prawdę. Pracę w tym miejscu potraktował jako rachunek sumienia za wyrządzone szkody, a większą część wynagrodzenia chował do koperty, którą planował oddać

dziewczynie na koniec zlecenia. Nie zasłużył na pieniądze za wszystko, czego dokonał.

Niedługo po tej rozmowie do środka weszły dwie, młode dziewczyny. Daniel już chciał je zganić, ale uprzedziła go Amanda, biegnąca z piskiem w ich kierunku.

– Przyjechałyście!

Patrzył, jak wszystkie trzy przytulają się i wylewnie witają. Z tego wszystkiego zapomniał, czy wsypał do wiadra odpowiednią ilość zaprawy. Czekał na to, czy ktoś go zauważy.

– To jest Daniel – rzuciła w jego stronę. – Lepiej zostawić go w spokoju, nie lubi rozmawiać. Chodźmy na górę – zaproponowała, wskazując na drzwi z tyłu lokalu.

Jej przyjaciółki postanowiły jednak przeskanować go wzrokiem. Ruszyły za Amandą dopiero wtedy, gdy ta krzyknęła do nich ze schodów. Pomachały do niego, szczerząc się jak nastolatki na widok drużyny futbolistów i posłusznie poszły za dziewczyną.

Danielowi nie pozostało nic innego, jak raz jeszcze zrobić zaprawę klejącą i zabrać się za kładzenie kafelek na jednej ze ścian. W trakcie pracy słyszał śmiechy i głośniejsze oznaki zachwytu, które niosły się z góry po cienkich ścianach.

Rozdział II

Goście Amandy wyszli dopiero nad ranem, kiedy słońce nieśmiało wschodziło na niebie. Wróciła do mieszkania i położyła się spać, nie musiała długo czekać na upragniony sen. Organizm poddał się odpoczynkowi z chwilą położenia głowy na poduszce.

Dołączyła do Daniela dopiero w porze popołudniowej, czując obciążenie poprzedniego wieczoru. Wiele myśli kotłowało się w jej głowie i żadnej nie mogła racjonalnie wyjaśnić.

Oparta o belkę, z kubkiem kawy w ręce podziwiała kafle na ścianie. Bardzo podobało jej się to, w jaki sposób chłopak ułożył je na ścianie, tworząc kombinacje ciekawych dla oka wzorów.

– Podoba mi się efekt – powiedziała nieśmiało. – Nie jest przytłaczający.

Daniel stanął obok niej, aby zobaczyć to z jej punktu widzenia. Dziewczyna zerkała na niego zmrużonymi oczami.

– Masz rację, teraz to widzę – odpowiedział z dumą w głosie. – Teraz tylko położę fugę i…

– Byłeś w więzieniu? – przerwała mu w połowie zdania, po czym zakryła usta dłonią, jakby miało to cofnąć wypowiedziane słowa.

Chłopak utkwił wzrok w podłodze. Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią, chciał opowiedzieć jej jakąś ciekawą historię i wybrnąć z sytuacji, ale co by to dało? Skoro już poznała ten brudny sekret nie było sensu dalej tego ukrywać.

– Byłem. – Westchnął ciężko i obrócił się przodem do rozmówczyni. – Ale zdecydowanie nie masz się czego bać, nie zrobię ci krzywdy.

Panika w jego oczach zasmuciła Amandę. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi, nie miała się przecież czego bać, spędziła z nim już wiele czasu i okazywał same pozytywne działania. Wręcz przeciwnie – czuła się z nim bezpieczna.

– Nie o to mi chodziło, ale dzięki. Czuję się o wiele lepiej. – Sprytnie zakamuflowała napiętą atmosferę za pomocą żartu. – Twoja małomówność nabrała teraz z moich oczach sensu.

– Myślisz, że w więzieniu się nie rozmawia? – Odbił piłeczkę, uśmiechając się do niej półgębkiem.

– Nie przeczę temu, ale na pewno nie rozmawia się o wyborze kafelek i koloru farby do ścian.

– Chcesz wiedzieć za co siedziałem – oznajmił.

Kiedy stał przed nią ze skrzyżowanymi na torsie ramionami, dostała wizji. Zobaczyła go w charakterystycznym, pomarańczowym stroju. Zaśmiała się pod nosem, bo ją przejrzał. Nie potrafiła zgrywać niewiniątka.

– Nie. Chcę poznać twoją historię. Dowiedzieć się, co skłoniło cię do decyzji, które wpakowały cię za kratki.

Daniel wiedział, że nie można jej odmówić. Tak długo czekała, aż on podzieli się swoimi przeżyciami, był jej to poniekąd dłużny. Przez wiele dni dopraszała się należytej uwagi, a on nie mógł dłużej pozostać niewzruszony na jej przyjazne gesty. Było w niej tyle ciepła i uroku, jakby Słońce zeszło na Ziemię i zostawiło jeden ze swoich promyków w jej sercu. Podziwiał jej siłę i determinację w zderzeniu z życiowymi dramatami. Zazdrościł, że podniosła się i zwycięsko zmierza ku mecie. Jakaś część chciała poznać sekret na takie życie, a otwarcie się na znajomość mogło Danielowi pomóc ponownie otworzyć się na świat. Nie mógł dalej walczyć.

– Dobrze. W międzyczasie musimy jednak zabrać się za malowanie ścian. Podczas pracy lepiej mi się opowiada.

* * *

Amanda nie chciała kierować się uprzedzeniami, nie mogła pozwolić im przejąć kontroli nad osądem. Przyjaciółki zszokowały ją wiadomością o tym, że jej pomocnik przebywał przez pięć lat w więzieniu. W pierwszym momencie chciała odwołać całe zlecenie i kazać mu wracać do domu. Widziała jednak w jego oczach jakąś iskrę, czekającą na zapłon. Za bardzo zżyła się z chłopakiem, żeby od tak wyrzucić go ze swojego życia. Przez wiele tygodni był jej jedynym kompanem i mimo niewielu wypowiedzianych słów – stał się bliski jej sercu.

Minęło kilka tygodni i mogła dumnie stwierdzić, że nie żałuje swojej decyzji. Daniel stopniowo przekazywał informacje o sobie, swoim życiu i o przestępstwach, jakich się dopuścił. Każdego kolejnego dnia zaskakiwał ją swoim wyszukanym poczuciem humoru, anegdotami i cechami charakteru, które zyskiwały w jej oczach. Praca z nim stała się o wiele przyjemniejsza, kiedy w końcu mogła nazwać Daniela swoim przyjacielem.

Danielowi znacznie ulżyło na duszy. Odkąd otworzył się na pracodawczynię poczuł się jak inny człowiek, jakby powoli wracał do dawnego siebie. Tego, który z nadzieją spoglądał w przyszłość i nie mógł doczekać się, aby poznać życie ze wszystkimi jego wadami. Widział światełko w tunelu, jednak w sercu ciągle pozostawał jeden kolec – symbol niewypowiedzianych sekretów.

Epilog

Ostatni dzień pracy zbliżał się wielkimi krokami, toteż Danielowi coraz ciężej było spędzać czas w pobliżu Amandy. Nieświadomie uciekał od bezpośredniej konfrontacji z dziewczyną, która w przeciwieństwie do niego rozkwitała coraz bardziej. Bał się rozstania i co za tym szło, wyjawienia całej prawdy na temat pożaru. Z dumą przyglądał się efektom wspólnej pracy, która dała drugie życie nie tylko lokalowi, co i dwójce ludzi z nim związanych.

Przed wielkim otwarciem trzeba było wprowadzić kosmetyczne poprawki; dokręcić żarówki w nowych lampach, rozładować towar czy podłączyć urządzenia elektryczne. Z tego powodu w środku przebywało więcej osób, niż dotychczas. Dostawcy sprzętu zajęli się jego montażem, a Amanda i jej przyjaciółki układaniem obrusów na nowych, lśniących stołach.

Z lekką nostalgią Daniel patrzył na obraz przed oczami. Wiedział, że nie będzie mu dane widzieć otwarcia i co najważniejsze radości dziewczyny, która zajęła szczególne miejsce w jego głowie, a jeszcze ważniejsze w jego sercu.

Godziny dzieliły parę przyjaciół od zaplanowanego rozstania. Godziny, w których Amanda chciała odwdzięczyć się pomocnikowi za ogrom pracy, jaki włożył w spełnienie jej marzenia. Jego zaangażowanie przeszło najśmielsze oczekiwania dziewczyny.

Daniel w końcu doczekał się momentu, w którym zostali sami.

– Amando, muszę ci coś powiedzieć.

Dziewczyna podeszła bliżej. Sceptycznie spojrzała na jego dłoń, trzymającą coś kurczowo w kieszeni bluzy.

– Najpierw ja – odpowiedziała z uśmiechem. – Zastanawiałam się długo, jak mogłabym podziękować ci za pomoc przy remoncie. Byłeś nieoceniony, naprawdę. – Gardło ściśnięte ze stresu nie mogło wypowiedzieć następnych słów spokojnym tonem. – Chciałabym dać ci pracę w moim skromnym przybytku.

– Nie mogę jej przyjąć – odparł zmieszany.

– A to dlaczego?

Po chwili trzymała w rękach grubą kopertę, wrodzona ciekawość kazała niezwłocznie sprawdzić zawartość.

– To prawie całe wynagrodzenie, jaki mi dałaś – wyjaśnił. – Nie mogę przyjąć ani tych pieniędzy, ani pracy. Muszę się z tobą pożegnać i jak najszybciej zniknąć.

– Dlaczego? – spytała po chwili męczącej ciszy.

– To ja podpaliłem kawiarnię lata temu, to ja sprawiłem ci tyle bólu i zawodu. To ja wpędziłem twoją kochaną ciocię do grobu.

Słowa wylatywały z niego jak naboje z karabinu. Poczerwieniał na twarzy i gestykulował żywo, tracąc powoli głos. Nie mój kontrolować krzyku, jaki wydarł się z jego gardła.

– Powiedz coś!

Amanda położyła mu dłonie na ramionach, zmuszając do spojrzenia sobie w oczy.

– Danielu, wiem o tym – wyjawiła. - Rozmawiałam z twoją mamą. Powiedziała mi o tym, jak cierpiałeś i jak bardzo chciałeś naprawić swoje błędy. I zrobiłeś to, naprawdę to zrobiłeś! Chcę dać ci drugą szansę, szansę na lepsze życie. – Pociągnęła nosem, emocje wzięły górę. – I nie chciałam cię stracić.

Chłopak był w szoku. Zrobił krok do tyłu, łapiąc się za głowę pełną sprzeczności.

– Zrobisz to dla mnie? – zapytał, ujmując delikatne dłonie Amandy w swoje. – Tak bardzo ci na mnie zależy?

Dziewczyna uroniła kilka łez, które Daniel starł za pomocą kciuka.

– Widzisz, moja ciocia lubiła mawiać, że na zgliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc. Z tego pogorzeliska wyhodowaliśmy coś więcej, niż tylko kawiarnię – dodała nieśmiało.

Daniel objął dziewczynę w niemalże matczynym uścisku. Zatracił się w jej cieple i dobroci, którą czuł mimo warstw skóry i ubrań.

– Skoro stworzyliśmy coś tak pięknego z przyjaźni, to ciekaw jestem, co będzie owocem naszej miłości.

* * *

Wielkie otwarcie stało się ogromnym sukcesem. Pojawiła się większa część dawnych klientów, jak i wielu nowych. Wszyscy zachwycali się smakiem wybitnej kawy i wypieków, które niejednego odwiodły od prowadzonej diety. Amanda i jej przyjaciółki przyjęły rolę baristek i kelnerek, z entuzjazmem biegając wśród zadowolonej klienteli. Daniel zajmował miejsce przy kasie.

– Spodziewałeś się czegoś takiego? – Amanda wykorzystała chwilę spokoju i łapczywie napiła się wody.

Czy spodziewał się, że jego grzechy zostaną odkupione? Czy spodziewał się miłości? Czy spodziewał się otwarcia na świat i nowe możliwości?

– Absolutnie nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Paulina Salamucha

I nagroda w kat. młodzieży

* . *

To był dzień jak co dzień. Wróciłem ze szkoły i prawie potknąłem się o buty ojca. Jak zwykle spał pijany. Nie interesowało mnie to, chciałem tylko wiedzieć, gdzie jest moja mama. Łazienka otwarta, w kuchni pusto. Próbuję otworzyć drzwi od pokoju - zamknięte. Pukam, ale nikt nie odpowiada. Próbuję drugi raz, słyszę tylko pojedyncze stęknięcie, teraz chociaż wiem, że tam jest. Proszę jeszcze raz, żeby mi otworzyła i nareszcie słyszę, że przekręca klucz w zamku. Otwiera drzwi, a moim oczom ukazują się następne siniaki. Łzy same napłynęły mi do oczu. Wystarczy najmniejszy błąd, niedopatrzenie, gorszy dzień w pracy lub jedno piwo za dużo. Tak bardzo chciałbym ją z tego wyciągnąć. Kocham ją, ale jednocześnie nienawidzę za to, jak daje sobą pomiatać. Mój ojciec jest potworem i nie będę się tego wypierać. Pomogłem jej wstać, otarłem krew z jej rozciętego łuku brwiowego, ale gdy zaczęła płakać z bólu, gdyż złapałem ją za nadgarstek, nie mogłem już wytrzymać. Tyle razy powtarzałem, że damy sobie radę bez niego. Tyle razy mówiłem, że sam potrafiłbym o nas zadbać, ale ona nigdy mnie nie słucha. Tak samo było, gdy byłem mały.

Pamiętam to, jakby działo się wczoraj. Miałem może z sześć lat, ale pamiętam wszystko doskonale. Mama ledwo stała na nogach z wycieńczenia po kilkunastogodzinnym dyżurze w szpitalu , potwór zwany również moim ojcem wrócił z pracy i wydawałoby się, że wszystko będzie dobrze. Ja stałem na taborecie w kuchni i zaparzałem herbatę do kolacji. Gdy sięgałem po czajnik, stopa osunęła mi się ze stołka i spadłem na kafelki wraz z czajnikiem. Mama momentalnie podbiegła do mnie z troską w oczach, a za nią mój tata. To, co widziałem w jego oczach z pewnością nie było troską. Minęło kilka sekund, a on zaczął robić się czerwony i ze złości wyskakiwała mu żyłka po żyłce. To była pierwsza taka sytuacja. Nie bałem się. Nie miałem powodu, by bać się mojego kochanego taty. Niesamowite jak sposób postrzegania człowieka może

drastycznie się zmienić. Następne co pamiętam to krzyk. Głośny, przyprawiający o ciarki krzyk dorosłego mężczyzny na bezbronnego sześcioletniego chłopca, który chciał tylko, aby jego tata mógł napić się ciepłej herbaty. Nadal się nie bałem, po prostu nie wiedziałem, co się dzieje. Nigdy na mnie tak nie krzyczał, nigdy nie krzyczał w ten sposób na nikogo. Mama miała łzy w oczach, nie rozumiałem dlaczego. Zrozumiałem, gdy poczułem jego rękę na moim policzku. Natychmiast poczułem rozchodzące się ciepło i pulsującą całą połowę mojej twarzy. Nie płakałem z bólu, płakałem z przerażenia. Nie wiedziałem, kim jest ten człowiek. Już go nie znałem. Mama padła przede mną na kolana, sama zaczęła płakać, przepraszać mnie i pocieszać. Ojciec nie powiedział nic. Od tamtego czasu, gdy tylko uniósł rękę, ja przymrużałem oczy i odsuwałem głowę. Nikt nic nie wiedział, tylko ja, mama i on. To był pierwszy raz, ale niestety nie ostatni. Miałem dziesięć lat i szykowałem się na rozpoczęcie roku szkolnego. Mama była w trakcie prasowania mojej koszuli, gdy do domu wtargnął wściekły ojciec. Jego firma miała problemy finansowe, z którymi nie mógł sobie poradzić. Mama chciała go pocieszyć, zostawiła na chwilę żelazko i podeszła do niego, mówiąc, że to ona może wrócić do pracy oraz, że sobie poradzimy. Ojciec dał się jej nawet przytulić. Pierwszy raz od bardzo dawna nawet się uśmiechnął. Po chwili zaczął być wyczuwalny nieprzyjemny zapach spalenizny. Mama zapomniała o żelazku. Ojciec zaczął na nią krzyczeć, mówić, że jest beznadziejna, że nic nie potrafi. Chwilę później uderzył ją tak mocno, że upadła na podłogę. Podbiegłem do niej, by jej pomóc, ale kazała mi uciekać. Tata zaczął mnie gonić. Tym razem mnie nie uderzył. Nie wiem dlaczego tego nie zrobił. Złapał mnie za koszulkę, podniósł, po czym zaczął krzyczeć.Tym razem się bałem. Bałem się chociażby poruszyć, nie mówiąc już o tym, że bałem się cokolwiek mu odpowiedzieć. Gdy postawił mnie z powrotem na podłogę, od razu podbiegłem do mamy. Krew leciała z jej nosa, miała rozciętą wargę i była cała zapłakana. Ojciec chwilę później wyszedł z domu. Nie mógł znieść nas i tego jak bardzo bezużyteczni jesteśmy. Chciałem ją pocieszyć, powiedziałem, że ją kocham i jest mi potrzebna, ale ona powiedziała, że ojciec nie miał tego na myśli. Tego tym bardziej nie rozumiałem. Nie byłem w stanie pojąć, dlaczego po tym wszystkim ona jeszcze go broni. Mama prosiła, żebym nie mówił nic w szkole.

Nie powiedziałem, ale chciałem. Chciałem, żeby ktoś o tym wiedział, żeby ktoś jej pomógł. Potem takie sytuacje działy się już regularnie. Ojciec wracał z pracy i jeżeli coś było inaczej niż chciał bił mamę, a czasem i mnie…

Miałem czternaście lat, gdy zostałem zapytany, kim chcę zostać w przyszłości. Nie miałem pojęcia. Wiedziałem tylko, kim nie chcę być. Wiedziałem, że nie chcę być jak mój ojciec. Mamę kochałem najbardziej na świecie, ale jego szczerze nienawidziłem. Gdy skończyłem szesnaście lat, zacząłem zatrudniać się do drobnych prac, tylko po to żeby zbierać pieniądze i jak najszybciej uciec od niego. Nie pozwalał chodzić mamie do pracy, zapewne wiedział, że namawiam ją do odejścia od niego i gdy mielibyśmy pieniądze, już dawno byśmy to zrobili. Mama to wspaniała kobieta i nie zasługiwała na takie traktowanie. Ojca i tak nie interesowało, gdzie jestem, co było idealną szansą na zdobycie jakiejkolwiek ilości pieniędzy.

Zacząłem od pytania sąsiadów, czy nie potrzebują pomocy przy pracy na podwórku lub czy nie zrobić im zakupów. Wielu z nich naprawdę potrzebowało pomocy, więc miałem wiele zajęć, od wyprowadzania psów do koszenia trawy, czy prac porządkowych. Sprawiało mi to ogromną satysfakcję, cieszyłem się, że mogę im pomóc i przy okazji odkładać pieniądze. Gdy skończyłem dziewiętnaście lat, nadal mieszkaliśmy z ojcem, a on nadal wyżywał się na mamie. Myślę, że dla niej to była już codzienność. Zatrudniłem się do zwykłej pracy, a gdy miałem chwilę i tak chodziłem pomagać w sąsiedztwie. Cieszyłem się, że chociaż im mogę pomóc. Nie było mnie jeszcze stać, by mieszkać samemu. Z resztą, czy byłbym w stanie? Byłbym potworem większym niż ojciec, gdybym sam się wyprowadził, a mamie nadal kazał mieszkać z nim. Każdego wieczoru nie mógłbym zasnąć, bo zastanawiałbym się, czy z mamą wszystko w porządku.

W wieku dwudziestu trzech lat, byłem już po studiach i dostałem wyższą posadę, a mama zgodziła się wyprowadzić wraz ze mną. Tyle sukcesów jednocześnie. Bardzo się cieszyłem, jednak moja radość nie trwała zbyt długo. Wróciliśmy do mieszkania, a mama poprosiła mnie, żebym na razie pojechał do naszego nowego domu sam. Oczywiście nie zgodziłem się i powiedziałem, że bez niej nigdzie nie jadę. Wyglądała na zmartwioną, ale poprosiła, żeby dać jej czas do końca tygodnia. Tak też zrobiłem.

W piątkowy wieczór byłem już przygotowany do wyprowadzki. Z radością wysiadłem z auta pod naszym blokiem i z uśmiechem na twarzy wchodziłem po kolejnych schodach, żeby wziąć mamę i jak najszybciej zostawić ten etap za mną. Wchodząc na piętro, aby wejść do mieszkania, minąłem się z wściekłym ojcem. Już wtedy wiedziałem, że coś jest nie tak. Wbiegając po schodach zauważyłem, że drzwi są otwarte. Przekroczyłem próg i zamarłem. Na podłodze leżały porozrzucane ubrania mojej mamy, a jej nie widziałem, co jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. Zrobiłem kilka kroków więcej, wszedłem do salonu i zobaczyłem ją. Leżała na podłodze, oczy miała zamknięte, gdy zacząłem do niej mówić nawet nie reagowała. Podszedłem do niej, chciałem ją podnieść i wtedy moim oczom ukazała się plama krwi, która znajdowała się pod jej głową. Byłem przerażony. Tyle lat milczałem tylko dlatego, bo ona mnie o to prosiła. Tyle lat cierpień i życia w strachu. Tak wiele razy błagałem ją, żeby od niego odeszła, ale ona zbytnio się bała. Nie wiedziała, jakie mamy perspektywy i czy w ogóle jakieś mamy. Nie wiedziała, gdzie zgłosić się po pomoc. Mama była jedyną osobą, na której zależało mi w życiu. Nie mogłem jej stracić. Zadzwoniłem po pogotowie. Gdy już przyjechali, udało się im ocucić mamę. Miała poważne obrażenia. Nikt nie wiedział, jak szybko i czy w ogóle z tego wyjdzie. Słów, które wtedy od niej usłyszałem, nie zapomnę już do końca życia. Obolała i ze łzami w oczach powiedziała mi:

"Kochanie, nawet nie wiesz jaka jestem dumna. Jesteś wspaniały. Codziennie słyszę od sąsiadów, jak to z małego chłopca, który chciał im pomagać, wyrosłeś na wspaniałego mężczyznę, który nadal ma chęć niesienia pomocy i to bezinteresownie. Jesteś tak niesamowity. Przez te wszystkie lata tylko ty przejmowałeś się moim losem. Bardzo cieszę się, że na tych zgliszczach wyrósł tak piękny owoc jak ty."

Po tych słowach znów zemdlała. Miała tak silne obrażenia, że następny miesiąc spędziła w szpitalu.

* * *

– Drodzy Państwo! Bardzo cieszę się, że mogę stojąc w tym miejscu przemawiać do wszystkich tu zgromadzonych. Nigdy nie pomyślałbym, że będę

opowiadał moją historię w tak ważnym momencie mojego życia. Stworzenie własnej fundacji to ogromny krok dla mnie i mojej mamy. Bardzo cieszymy się, że możemy poruszyć temat przemocy domowej i wesprzeć dzieci, które na co dzień zmagają się z trudem życia w rodzinie z przemocą oraz, że jesteśmy w stanie udzielić pomocy ludziom, którzy naprawdę jej potrzebują. Temat przemocy domowej ginie wśród tak wielu informacji dostarczanych przez media lub inne środki masowego przekazu w dzisiejszych czasach. Cieszę się, że to właśnie ja mogę wam wszystkim pomóc. Chciałbym dać dzieciom, czy też całym rodzinom nadzieję i szansę na lepsze jutro.

Amelia Gappa

II nagroda w kat. młodzieży

Dla przyjaciół, których znam i dla tych, którzy dopiero przyjdą.
Dla przeszłości, która mnie ukształtowała.
Dla teraźniejszości, która mnie nie oszczędza.
Dla przyszłości, aby czekała na mnie z otwartymi ramionami.

Gdy czas już się nie liczy

Gdy byłem małym chłopcem, zawsze marzyłem by być wolny i latać jak piękny, dumny ptak. Wbijać się ostrym kątem w czyste lazurowe niebo. Czuć chłód i wielkość chmur burzowych. Nie lękać się niczego i nikogo. Uciekać w przestworza własnej imaginacji i zostawać tam długo. Całymi dniami gorączkowo obserwować ludzi pędzących wiecznie w miejsca, które nie wywołują u nich euforii ani innych emocji. Zachwyt, to coś niewyobrażalnego w życiu każdego. Chciałem to czuć. Zawsze różniłem się od swoich rówieśników. Interesowały ich jedynie gry i zabawy, gra w berka i kradzież narzeczonych. Ja wyróżniałem się moją wrażliwością na rzeczy niezauważalne. Widziałem bezgraniczną wyjątkowość w drzewach patrzących z wyższością na nas. Nikt nie dostrzegł ich wielkości. Natura to najcudowniejsza i najgroźniejsza siła, jaka kiedykolwiek istniała. Mogła być życiodajna i okrutna jednocześnie. Wszystko zależy od czegoś, co społeczeństwo uważa za nieważne. Często spotykałem się z nieprzyjemnościami z powodu mojej niezwykłości, uważano mnie za osobę niepoczytalną. Uważali tak wszyscy, tylko nie ona.

Dziewczyna, która zapierała dech w piersiach, zwłaszcza moich. Odkąd pamiętam, zachwycała każdego. Jej lekkość w poruszaniu się, jej subtelność, ulotność... wzruszała. Gdy kroczyła przede mną, widziałem w niej to, co kochałem bardziej niż byłem w stanie ujrzeć, widziałem wolność. Marysia nigdy nie zważała

na to, co zazdrosne dziewczyny o niej mówiły. Czasami szeptały, gdy stała zaledwie za ich plecami. Maria była niezwykle roztargniona. Jej sukienka bezustannie była pognieciona i brudna. W kieszeni swojego płomieniście czerwonego fartuszka nosiła zawsze swoich najlepszych towarzyszy. Pierwszym z nich to kamień, który znalazła podczas swej pieszej wycieczki przez bezgranicznie piękne i urzekające pole chabrów. Ich kolor wręcz idealnie pasował do pasma w jej złotych warkoczach. Zawsze nosiła je tak samo splecione. Zadawała sobie wiele trudu, upinając włosy. Kamień był jak talizman. Był z nią zawsze. Kolejnym z jej towarzyszy był wysuszony do ostatniej kropli liść. Znalazła go pewnie podczas wrześniowej wędrówki do lasu. Był to dar dębu lub brzozy. Każda moja próba rozpoznania liścia skazywała mnie na porażkę, ponieważ Marysia niechętnie pokazywała go komukolwiek. Najwidoczniej miał on dla niej wielką wartość. Ostatnią rzeczą w jej kieszeni, lecz najważniejszą, była mała szmaciana laleczka. Zawsze intrygowała mnie ta zabawka. Moja bujna wyobraźnia, która niejednokrotnie mnie zaskakiwała, nie była w stanie pojąć tego zjawiska, do czasu, gdy....

Nie jestem w stanie ująć w słowach tego, jak Marysia ją kochała. Sama lalka nie była zbyt piękna. Miała ubogą sukienkę i ciemne, potargane włosy. Na plecach laleczki zauważyłem rozdarcie i nieudolną próbę zszycia dziury w sukience. Szew był raczej krzywy i chaotyczny. Użyto ciemnobordowej nici i zbyt dużej igły, lecz dodawało to uroku szmaciance. Gdy szedłem pewnego słonecznego dnia do szkoły usłyszałem rozmowę trzech dziewczyn na temat lalki, podsłuchałem jej niezamierzenie, gdyż moim zdaniem podsłuchiwanie innych jest aktem wielkiej desperacji i okazaniem braku jakiegokolwiek szacunku. Niemniej ta rozmowa wzbudziła we mnie zainteresowanie. Dziewczęta rozmawiały o Marysi i sytuacji życiowej, w której postawiło ją życie. Laleczka została zrobiona przez jej matkę kilka miesięcy przed jej śmiercią. W tamtej chwili zdałem sobie sprawę z położenia dziewczyny. Poczułem niewyobrażalny smutek i żal. Wiedziałem, że ojciec mojej miłości jest ciężko chory. Zdałem sobie sprawę, że Marysia zostanie sama. Nie ma nikogo poza rodzicami. Nigdy nie słyszałem o babci, dziadku, cioci, stryju, kuzynach..., nie słyszałem o nikim. Ogarnęło mnie uczucie, którego jeszcze nigdy nie czułem. Nie byłem w stanie go opisać.

Po paru tygodniach stało się to, czego najbardziej się obawiałem. Ojciec Marysi zmarł. Nikt nie był w stanie mu pomóc.

Zwykle moja droga z domu do szkoły była piękna. Za każdym razem zatrzymywałem się przy dębie. Podziwiałem jego urodę. Obserwowałem, jak mrówki przenoszą malutki kawałek liścia. Siadałem przy rzece, by zebrać moje myśli. Często traciłem rachubę czasu i spóźniałem się na poranne zajęcia z Panem Maciejewskim. Nie podobało mu się to, ale w miarę upływu czasu moje nieobecności stały się dla niego normalnością. Tamtego dnia jednak nic się nie liczyło. Dąb, mrówki, rzeka wszystko było nieistotne. Najważniejsza była Marysia. Po dotarciu do szkoły zacząłem jej szukać. Byłem wszędzie. Później dowiedziałem się, że Marysia, moja piękna, skromna i wymarzona Marysia, wyjechała. Nie byłem w stanie opanować swoich emocji. Pierwszy raz w życiu popłakałem się bez upewniania, że nikt mnie nie zobaczy. Kilka łez zamieniło się w szloch. Nie zdążyłem jej powiedzieć tego, co najważniejsze. Nie byłem przy niej w najcięższej chwili jej życia. Nie było mnie. Rozstaliśmy się bez pożegnania.

Dzieciństwo skończyło się szybko. Zacząłem studiować w Warszawie. Zgiełk wielkiego miasta wielce mnie przytłaczał. Dorastałem na maleńkiej wsi i nie byłem przyzwyczajony do wielkomiejskiego stylu życia. Zacząłem praktykę w kancelarii prawniczej mojego dalekiego kuzyna. Niewiele czasu potrzebowałem, aby zdać sobie sprawę z tego, że nie jestem wolny. Stałem się tym wciąż pędzącym za niczym człowiekiem. Nie miałem czasu na nic, co przyniosłoby mi chociaż namiastkę radości. Tak wygląda dorosłe życie. Moje mieszkanie nie było w centrum miasta, dzięki temu mogłem uciec od wszystkiego, co mnie przytłaczało. Wieczorami byłem bardzo samotny. Mieszkałem sam. Próbowałem znaleźć sobie miłość, ale bezskutecznie. Nikt nie był taki jak... Marysia.

Zostałem prawnikiem, aby pomagać innym, a przynajmniej taki był mój plan. Okazało się, że hierarchia prawnicza mnie nie lubi i zostałem skazany na pracę przy biurku i robienie kawy. Moja mama zawsze powtarzała mi, że droga na szczyt jest stroma i trzeba od czegoś zacząć. Moje dni były monotonne. Budziłem się rano, czując ogromną pustkę. Wydawało mi się, jakby moja dusza

nie miała już woli życia. Cała radość, jaką odczuwałem, obserwując piękno otaczającej mnie przestrzeni, zniknęła. Nie byłem w stanie zauważyć mrówek, potęgi natury. Nic się dla mnie nie liczyło. Jedyną rzeczą, która dodawała mi nadziei była praca. Zamykałem się w tabelach, linijkach tekstu i sprawach, które prowadził mój przełożony. Pewnego czerwcowego dnia dostałem szansę. Los wreszcie ujawnił swoją przychylność wobec mojej osoby. Dostałem sprawę pewnej dziewczynki i jej matki. Im głębiej poznawałem dokumenty opisujące sprawę, tym większą bliskość czułem wobec mojej klientki. Dziewczynka nazywała się Jadwiga Sławojewska, miała osiem lat i pochodziła z małej wsi pod Warszawą. Jej rodzice oddali ją do schroniska dla dzieci. W domu rodzinnym panowały spartańskie warunki. Codziennością tego dziecka był alkohol, narkotyki i nieustanna przemoc jej okrutnego ojca wobec matki. Nieszczęście Jadwigi trwała do momentu, gdy jej matka pod osłoną nocy podrzuciła ją do sierocińca na ulicy Makowskiej. Po dwóch latach rozłąki jeden z jej rodziców postanowił wrócić po dziecko. Niestety sąd nie był przekonany do gotowości wykonywania obowiązków wiążących się z opieką nad córką przez matkę. Sprawa jak każda inna, ale moja. Halina Sławojewska - matka dziecka zwraca się do kancelarii o pomoc. Sam nie byłem pewien, czy wątpliwości sądu są oparte na faktach.. Niebo zasnuły ciemne chmury, które, w mojej ocenie, mogły zwiastować niepowodzenie. Usiadłem w mojej ulubionej kawiarni na obrzeżach miasta. Mogłem zaznać tam spokoju. Pobliski park i stare drzewa dawały człowiekowi poczucie bezpieczeństwa. Bywalcami parku byli albo ludzie starzy, albo bezdomni, którzy już o poranku byli w humorach alkoholowych. Myślałem nad tym przez jakiś czas. Nikt nie rozważa nad motywacją działania tych ludzi. Rzadko pochylamy się nad ich losem. Nie zastanawiamy się, czy alkohol jest używką czy ucieczką? Kiedy tak siedziałem nad poranna kawą, wiele rzeczy rozstawała się bardziej wyrazistymi. Lubiłem te chwile. Czas naglił, więc zabrałem się za pracę. Wertowałem godzinami akta sprawy. W tamtym momencie czułem się jak naukowiec, który bez wytchnienia każdego dnia szuka coraz to lepszego sposobu na wyleczenie pacjenta. Widziałem to jedno podobieństwo naszych zawodów. W moich rękach również znajdowało się życie ludzkie. To ja mogłem wziąć czynny udział w uzdrowieniu. W takich momentach czułem

jednocześnie frustrację i ekscytację. Te uczucia, chociaż są niezwykle skrajne, stały się moimi towarzyszami, aż do momentu rozstrzygnięcia sprawy.

Mój czas na przygotowanie się do rozprawy nie był wystarczający, ale uznałem, że muszę sobie poradzić. Wszystko, co przygotowałem, było wielokrotnie sprawdzane przez moich przełożonych. Wiele razy ćwiczyłem moją mowę przed lustrem. Na życzenie mojej klientki nigdy się z nią nie spotkałem, a ona sama nie była obecna na sali rozpraw. Ten wybór był zrozumiany, gdyż obecny był jej były mąż. Z uwagi na bezpieczeństwo sąd wyraził zgodę na rozprawę z udziałem zaocznym Haliny S.. Czułem się przygotowany, ale, jak się później okazało, byłem w wielkim błędzie. Na sali sądowej zachowywałem się, jakbym dopiero co ukończył studia. Nie potrafiłem wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Przegrałem sprawę. Co wiązało się z powrotem Jadzi do domu dziecka. Nie byłem w stanie poradzić sobie z bólem, który czułem po ogłoszeniu wyniku. Nic już nie miało sensu. Wybiegłem z sali jak małe dziecko z pokoju. Oszołomiony rozpaczą i gniewem pobiegłem na najwyższy most, jaki mogłem znaleźć. W drodze zadawałem sobie wiele pytań.

"Czy właśnie zniszczyłem życie tej dziewczynce i jej matce? Czy nadaję się do wykonywania zawodu, który wybrałem? Czy umiem pomagać innym? Czyja w ogóle nadaję się do czegokolwiek?"

Nagle zatrzymałem się. Stałem i myślałem. Wchodziłem coraz wyżej i wyżej. Gdy spojrzałem w dół zobaczyłem płynącą szybkim nurtem rzekę. W mojej głowie pojawiało się wiele męczących myśli, ale jedna wygrywała z pozostałymi. Przesunąłem się coraz bliżej krawędzi. Chciałem zakończyć moje cierpienie. Skoczyć i zapomnieć, zostać zapomnianym. W ostatnim momencie, gdy już jedna z moich nóg wisiała bezwładnie nad przepaścią usłyszałem kobiecy głos. Był tak delikatny i lekki, że zdawało mi się jakby anioł do mnie przemawiał.

– Hej! Co robisz!? Złaź stamtąd natychmiast!

Nie odpowiedziałem, ale ten głos wydawał mi się niezwykle przyjazny. Jakbym już go gdzieś słyszał. Bałem się odwrócić, gdy nagle poczułem ostre szarpnięcie. Gdy zobaczyłem twarz osoby, która mnie uratowała, oniemiałem.

Nie byłem pewien, czy nie śnię. Może skoczyłem i po śmierci zobaczyłem moje najdroższe marzenia. To była Marysia. Rozpoznałbym jej spojrzenie wszędzie.

Gdy na nią spojrzałem, zobaczyłem tamtą dziewczynkę, która chodziła w brudnej sukience. Marysia jest moim Aniołem Stróżem przez całe moje życie. Zawsze marzyłem o tej chwili. Odgrywałem różne scenariusze jak się zachować, co powiedzieć, lecz, gdy nadszedł ten czas, stałem bezmyślnie wpatrzony w nią jak w najpiękniejszy obraz. Ona się nie zmieniła. Dzieło sztuki stworzone przez samego Boga. Nie miała na sobie żadnej skazy. Jakby grzech pierworodny nigdy jej nie dotknął. Dalej była tak samo odważna i nieokrzesana.

– Wstawaj! Ktoś musi uratować moje dziecko.

Uśmiechnęła się do mnie najcieplej, jak się umiała i wpadła w moje ramiona. Czułem, jak cała gorycz mojego życia ze mnie spływa. Nie czułem bólu. smutku, złości. Ogarnęła mnie czysta wręcz dziecinna radość. Wtedy mnie olśniło. Przez ten cały czas nieświadomie i nieudolnie pomagałem miłości mojego życia. Halina Sławojewska to tak naprawdę Marysia. W mojej głowie pojawiło się jeszcze więcej pytań, na które tylko ona była w stanie mi odpowiedzieć. Po krótkiej rozmowie udaliśmy się na spacer, gdzie dowiedziałem się, że całkowicie zmieniła swoją tożsamość po ucieczce od tyrana, którego wcześniej nazywała swoim mężem. Przeszył mnie wtedy niewyobrażalny gniew i wstyd. Marysia to zauważyła. Powiedziała mi wtedy coś bardzo ważnego, co dało mi powody do walki:

– Powiem ci coś, czego nauczyło mnie życie. Niezależnie od tego, gdzie jesteś i kiedy, walcz. Nie trać siebie, nawet wówczas, gdy coś lub ktoś twój świat zamieni w gruzy. Pamiętaj o tym, kim jesteś i się nie poddawaj, bo na zgliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc, a teraz pozbieraj się i mi pomóż, bo bez ciebie nigdy nie odzyskam Jadzi.

Te słowa, choć nie stanowiły przykładu sztuki retoryki, dodały mi siły, siły do walki o Jadzię i jej matkę... Marysię. Byłem w stanie zrobić dla niej wszystko, już nigdy nie wypuszczę jej ze swoich objęć. Jest dla mnie letnim podmuchem wiatru, którego tak niezwykle potrzebowałem. Postanowiłem wystosować dokumenty o ponowne rozpatrzenie sprawy przez sąd. Na moje szczęście tym

razem się udało. Przez kilka tygodni żyłem tylko i wyłącznie życiem Mari i jej córki. A Maria nie opuszczała mojego boku, aż nadszedł dzień próby. Na sali ogarnął mnie ten sam stres, co przed kilku tygodniami, ale przecież nie byłem sam. Przy niej i z nią czułem się silny. Dzięki niej miałem siłę walczyć. Wydanie orzeczenia trwało godzinami, ale warto było. Wygrałem sprawę i Jadzia nie musi już walczyć z trudem życia w sierocińcu i jest znowu ze swoją mamą. Zamieniłem się w ojca i tworzę wraz z Jadzią i Marysią dom, planujemy przyszłość, pragniemy żyć. Wróciła do mnie radość i wrażliwość. Znowu widzę trud mrówek, wielkość dębu, który posadziliśmy w naszym ogródku i nie boję się już tego, co przyniesie mi jutro. Nie jestem sam…

Maja Werczyńska

III nagroda w kat. młodzieży

Mahapralaja

Aby zbudować nowy, lepszy świat, zawsze bez wyjątku trzeba zniszczyć poprzedni. Czasami subtelnie, powoli, by nikt się nie zorientował, a czasami nagle i bezlitośnie wyrwać z korzeniami, nie pozwolić mu żyć ani chwili dłużej. Dopóki nie nauczymy się jedną nogą stać na odpływającej łodzi, a drugą na pomoście, innej drogi nie będzie.

Cienie sępów zakrążyły nad ponurym wzgórzem w Kagoshimie. Górka nazywała się Shiroyama i to ona, nie Kagoshima, użyczyła nazwy wydarzeniom następnych dni. Kto zapuściłby się na jej szczyt, ujrzałby widok jedyny w swoim rodzaju. Grupka mężczyzn - nie więcej niż pięciuset - w charakterystycznych, czarnych zbrojach zakończonych, jak się zdaje, szerokimi spódnicami o wyglądzie kolczugi i tradycyjnych fryzurach, z włosami upiętymi w wysokim koku i wygolonymi na czole. Obok nich spoczywały równie specyficzne, bogato zdobione hełmy, czekając na dzień, w którym znów okażą się usłużne. Tuż przy boku zaś każdy ściskał dwa miecze; jeden długi, drugi krótki, katana i wakizashi, oba święte, oba pokryte złotymi wzorami, odpędzającymi złe duchy. Przed wykuciem każdej z tych katan i każdego z tych wakizashi miecznik poddawał się rytuałowi oczyszczenia, by do ostrza nie przedostało się ani trochę zła. Miecz był czymś więcej niż bronią. Był hierofanią. W nim spoczywała dusza wojownika.

Ale samurajom zabroniono nosić miecze. Od wieków było to ich prawem, a nawet obowiązkiem, ich symbolem. Bez dwóch mieczy u pasa znaczyli tyle, co pospolici wieśniacy, z nimi - otaczano ich czcią i respektem. Teraz trzymali je przy sobie kurczowo, jakby zaraz zza drzew miał wyskoczyć admirał cesarskiej armii i wyrwać im je z rąk.

Aby zbudować nowy, lepszy świat, zawsze bez wyjątku trzeba zniszczyć poprzedni.Cesarz zniósł siogunat, a razem z nim reliktem stał się stan samurajski, bez feudalizmu będący jak ryba bez wody. Japonia otworzyła się na zachód,

pozwoliła Europejczykom i Amerykanom stąpać po swoich ziemiach, zatrudniła ich przy budowie swoich dróg. Tradycyjne szaty zastąpiły zachodnie marynarki, siogunów baronowie i hrabiowie, daty przesunęły się przez wprowadzenie kalendarza gregoriańskiego zamiast księżycowego. Dzieci mężczyzn, którzy pierwszego września tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku uciekli na Shiroyamę w Kagoshimie, zgodnie podziękują cesarzowi za te decyzje. Będą chodzić na wystawy zachodniego malarstwa i pracować przy maszynach wynalezionych w Anglii czy Niemczech. Nie przyjdzie im do głowy założyć tych przesadzistych hełmów, jakie w spadku zostawią im ich ojcowie. Będą wszyscy zachodzić w głowę, patrząc, jak Japonia staje się coraz bogatsza i potężniejsza: „czy właśnie po to oddali życie, by temu zapobiec?”.

Armia cesarstwa otoczyła Shiroyamę fortyfikacjami ze wszystkich stron. Nie został skrawek ziemi, którego nie pilnowały czujne, żołnierskie oczy. Przeciw tym pięciu setkom powstańców generał Yamagata wysłał trzydzieści tysięcy ludzi. Ostatni samurajowie, spadkobiercy tysiącleci kultury, tak innej od tej przybyłej z zachodu, skazani byli na śmierć, a Shiroyama służyła im za celę, w której spędzić mieli resztę swoich dni. Ale kodeks zakazywał im strachu. Zakazywał im się poddać. Kazał walczyć do końca o to, co uważali za słuszne.

Na horyzoncie z rąk zagranicznego robotnika powstawał czarny, wysoki komin fabryczny. Dnia dwudziestego trzeciego września, ponad trzy tygodnie, odkąd Shiroyama zapewniła wyklętym schronienie, nadeszło ultimatum. Admirał marynarki wojennej Kawamura obiecał, że daruje powstańcom życie. Muszą tylko oddać mu swego przywódcę, Saigo. Zapowiedział, że na odpowiedź czeka do piątej. Czy wiedział, że się nie zgodzą? Może sądził, że za dużo już stracili. Głodni, pozbawieni amunicji, otoczeni ze wszystkich stron przez przeciwnika z przewagą sześćdziesięciu do jednego. Kogo w takiej sytuacji obchodziłby etos, choćby i najdroższy sercu? A może wiedział, że na marne się trudzi, może po prostu wypełniał formalność. Osaczonym należy złożyć taką propozycję, aby historia dobrze zapamiętała osaczających.

O piątej odpowiedzi nadal nie było. A więc wojna. Na Shiroyamie mężczyźni ostrzyli swoje katany, poili konie i czyścili niechętnie braną do ręki broń palną.

Perspektywa nadchodzącej śmierci nie zwalniała ich ze starań, kodeks nakazywał im walczyć do ostatniej kropli krwi. Aby zbudować nowy, lepszy świat, zawsze bez wyjątku trzeba zniszczyć poprzedni.O czwartej nad ranem ze statków w porcie w Kagoshimie i z armat spod Shiroyamy wystrzeliły wielkie kule ognia, niby z paszcz dziesiątek wściekłych smoków. Ich celem były stare zwyczaje. Mniej korzystne ekonomicznie czy politycznie, przestarzałe, niemodne. Zwyczaje, po których nikt nie płakał, gdy odeszły, które trzymały naród w tyle zamiast pozwolić mu się rozwijać, które musiały wreszcie odejść, skoro nadszedł na nie czas. Ale zwyczaje stawiały opór. Po raz ostatni chciały udowodnić, że się do czegoś nadają. Pięciuset samurajów, a może było ich mniej, może czterystu, trzystu, ruszyło z pełną mocą wprost na postęp. A przecież tyle miał nad nimi przewagi.

Rozbryznęła krew, na ziemię poleciały odcięte czy odstrzelone kończyny. Katany zderzyły się z muszkietami, tysiąclecia tradycji ze świetlaną nowoczesnością. Wynik tej bitwy rozstrzygnięty został dawno temu. Samurajowie też o tym wiedzieli. Mimo to tak pragnęli zatańczyć swoje danse macabre tutaj, u stóp Shiroyamy, i chcieli tańczyć tradycyjnym stylem, rodem z teatru kabuki, nim zastąpi go elegancki walc, nim sale balowe rozbrzmią odliczaniem: raz, dwa, trzy, raz. dwa, trzy…

To była ich ostatnia melodia i to do niej zmuszeni byli tańczyć; rytmiczne wybuchy, wystrzały, odgłosy ostrzy przecinających skórę. Do niej padali jeden po drugim, godząc się w ostatnich chwilach z ty m, co się stało. Umierali godnie, tak jak nakazy wał im kodeks bushido. Tak przez całe życie uczono ich umierać. Całkiem możliwe, że nie potrafili inaczej.

Bitwa trwała już od dwóch godzin, gdy przywódca rebelii, Saigó, otrzymał śmiertelną ranę w brzuch. Jeszcze żyw upadł prosto w ramiona swego towarzysza niedoli. Wiedzieli obaj, co się teraz stanie. Wiedzieli, że wraz z Saigó umrze bunt. Umrze honor samurajów. Umrą stare zwyczaje. Myśleli tymi samymi słowami, jakby stanowili część jednego, wielkiego organizmu. Nie zamienili słowa, gdy Beppu, ten, który złapał przywódcę, zaniósł go do ciasnej groty u stóp Shiroyamy, gdzie przez chwilę mogli cieszyć się względnym spokojem, by zrobić to, co trzeba było zrobić.

Saigó sam nie miał siły na seppuku. Beppu wykonał je za niego. Cień sępa wleciał do jaskini, gdy jego miecz bez trudu odciął głowę przywódcy od reszty jego ciała, jakby jego katana przecinała kostkę masła. W geście frustracji chwycił ją za włosy, zapięte wciąż w tradycyjnym koku, i rzucił tak daleko, jak tylko mógł. Chciał,by nikt jej nigdy nie znalazł. By chociaż tym Saigó zatriumfował nad armią, nad cesarzem, nad nowymi zwyczajami. I z chwilą, gdy Beppu wyszedł z jaskini, by głębiej ukryć głowę, trafił go pocisk armatni i upadł nieżywy na ziemię.

Aby zbudować nowy, lepszy świat, zawsze bez wyjątku trzeba zniszczyć poprzedni. Czasami subtelnie, powoli, by nikt się nie zorientował, a czasami nagle i bezlitośnie wyrwać z korzeniami, nie pozwolić mu żyć ani chwili dłużej.

Dopóki nie nauczymy się jedną nogą stać na odpływającej łodzi, a drugą na pomoście, innej drogi nie będzie.

Aleksandra Jung

I nagroda w kat. dorosłych

Nie można wierzyć synoptykom

Nie można wierzyć synoptykom.
Wbrew wszystkim i wszystkiemu
dziś pogoda płaczliwa, horyzonty wąskie.
Czarna wojna drapieżnie wystrojona
nadciągnęła równo z napuszczonym wiatrem.
Kwiaty ciężko pachną i łamie się czas.
Począwszy od środka dnia, ciśnienie w fazie drgań,
bezlistne drzewo strachu umarły rzuca cień,
ciepłota powietrza ciężka jak cierń, czerwień i czerń.

Nie można wierzyć synoptykom.
Wbrew wszystkim i wszystkiemu
jeszcze nie skończyła się wojna ludzkości.
Ściskać można tylko listy i listki nadziei,
gdy trwa apokaliptyczna gra na pulpicie świata.
Widać niewiastę, jak piersią karmi bezdomnego psa,
za wszystkie czasy jej syn wypłakał się, by umrzeć.
Dano naboje, dzieciństwo jak kłębek zawinięto w śmierć.
Poza tym w pamiętnikach głodu została ćwierć ziemniaka
na trzy osoby i kości. Zjedzone przez rzeczywistość

człowieczeństwo. Ludzkość na czczo błaga
o krztynę litości i sama pisze księgę miłosierdzia,
wszak zarówno życia, jak i wojny
nie da się wytrzymać bez pocałunku i miłości.
Tak czy inaczej...

Nie można wierzyć synoptykom.
Wbrew wszystkim i wszystkiemu
w napadach stanów nieświadomych
zmieniają się rzeczy i kierunki czasu.
A w każdej ciemności
skrywa się choć kropla światła.
Nawet gdy nikt o tym nie mówi, trzeba wierzyć.
(Być może jutro) niezawisłe chmury wessą strach,
pochłoną i strawią lub luną na zło deszczem.
Wtem z niebios bodaj nadleci ptactwo długobrode.
I się osiedli. Ochrzczone
we własnej krwi. Mimo wszystko
w ludzkości stare siedzi serce.

Hanna Makurat-Snuzik

Nieustraszone kwiaty

We wnętrzu świata, na zgliszczach
czasu, wśród gruzów historii
kwiaty wciąż nie więdną.
Dojrzałe okazy i embriony pąków,
w kwiecie wieku – miliardy gatunków
nico smutnych bądź trochę weselszych.
Niezapominajka na polu bitwy
albo róża wyrosła na betonie.
Wszystkie tłumnie rozsiadłe,
przykucnięte w borach,
rozlane na mapie kolory.
Swe głębinowe cienie rzucają
jak zaklęcia. Pod dębem pamięci
modląc się nad zwłokami dawnych
prakwiatów w pralasach
niepogrzebanych, w sobie
nie mogą się pozbierać,
nawet gdy zbierane na kolanach.
Same starają się dożyć
tak, jak bardzo mogą.

Choćby na granicy,
którą niepewnie przekroczą.
Na zgliszczach świata starego
starają się rodzić nowy zbiór,
wbijać nasiona w owoce,
wtykać pestki w kwiaty.
Kwiatostany rozrastają się wzdłuż
wieloboczne. Szlachetnie
wznoszą swe szyje jak żyrafy.
Wysokopienne jak podniosłe mury
ponad spiętrzoną ciemność kwitną
tkliwie wtulone w chmury.
I nawet gdy podwiędną nieco stare, brodate,
gdy bólu doda im władca cierpienia,
ich dusze na przekór starości się nie odkwiecą,
a kwiatów serca same w sobie
wylizane rosą, w głębinach
mocno niepokalane
nigdy nie zapadną się pod ziemię.

Hanna Makurat-Snuzik

Cień gra w ciemno

Jestem złamanym cieniem
innego starego cienia
poczętym w teatrze w odwróconej ciszy.
W ciemno gram, od deski do deski
czyszczę stajnię Augiasza.
Oby już nie wróciły dantejskie sceny...!
Nieraz trzęsie mną deszcz.
największy na ziemi, a nawet na świecie.
Pół-martwe dusze dotykają mnie do żywego.
A ja milczę jak głaz. Całą gębą
z ust jedzie mi strachem.
Lecz uszy do góry! W najlepszej wierze
robię dobrą minę do tego, co jest grane.
Czuły jak wrażliwa struna napinam się,
by iść wyprostowany wśród tego, co się święci.
Na scenie nie daję zdeptać choćby cienkiego robaka.
Jako cień zaś na wygłosie wykrzyczawszy
pusty głód i pełny ból,
wszystkim krzyżom ściskam dłoń.
Na deskach ratunku reanimuję duszących się.

Widzę, jak Bóg daje im nowe języki i nowe słowa.
W teatrze życia nie umiera się bowiem do końca.
Ale w ciemno. Ta gra jest warta świeczki –
trzeba tylko wbrew i na przekór strachom w sobie
zadane realizować człowieczeństwo,
długo i powoli przeciwstawiać życie – śmierci
i rzucać kość niezgody każdemu,
kto głos podnosząc, chce wygłuszyć Logos.

Hanna Makurat-Snuzik

II nagroda w kat. dorosłych

* * *

w moim świecie wojna
czołgi taranują miłość
hekatomby trupów
składane w ofierze bogini hejtu
nie mieszczą się na ołtarzach ze stali
ludzie z żelaza
mordują kością niezgody
człowieka z krwi i kości
potem
tańczą na zgliszczach popiołów
popiół podobno świetnie kompostuje
wszak na zgliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc
reszta
niecierpliwie czeka
aż dojrzeją
kolejne pokolenia
ofiar i zbrodniarzy

Magdalena Kubiak

już nie haiku choć jesienne

pośród płomieni i rdzy liści
wtulonych w omszały dotyk rozdartej kory
w pamięci słońca co teraz już gaśnie
efekt letniego pocałunku
przed śmiercią jesieni
tak dojrzewa owoc na zgliszczach pochowanego lata

Magdalena Kubiak

Za kratami słów...

Na zgliszczach Elsynoru
Ciemnego świata
Gdzie wszystkie mury pod strażą
A słowa słowa słowa
Już tylko plugawe
I każda cegła ma oczy
Nikt nie przypuszcza że z mierzwy oleistego mroku
Może dojrzewać
Owoc wyczekiwania

Choć Dania także jest moim więzieniem
Bo w niej brakuje mi Ciebie
Tutaj smakować Cię pragnę
Jak z kubka porannej herbaty z cytryną
Cierpki płyn na wilgotnym języku
Proszę
Sprawdź znowu
Jak łatwo
Uwolnić mnie
Pocałunkiem

Magdalena Kubiak

Koci pazur jesieni

jesień zeskoczyła nam z lata na plecy - szylkretowa kotka
wbiła pazury w skórę przebiła się głębiej
przeciąga się
zawraca krew karmi się nami
biegnie z komory do komory
do przedsionka tupie
gubimy rytm
a serce wysycha kurczy się zamienia w kłębek kurzu
mówisz jeszcze się rozplączemy rozjaśnimy otrzepiemy
jeszcze będzie dla nas jakaś wiosna
liść na drogę i błogosławieństwo ciepłych pól rzepaku
tylko przetrwajmy ten wyciek mgły i ognia
wykiełkujemy
słońcem

Małgorzata Borzeszkowska

Składy

ukraińskie poetki rodzą wiersze i rodzą synów
łatwiej ochronić wiersze skryte między twardymi okładkami
przetrwają czasem nawet bez celu
wiersze same dla siebie
synowie poetek z Ukrainy nie mają takiego szczęścia
sami dla siebie kupują czas kamizelki i hełmy
umierają sami
dla nas
choć nam się wstyd przyznać
że za szybko
potem składamy ich do druku

deklamujemy ich imiona jak Iliady
rozsypujemy jak nasiona podlewamy modlitwą
kiedyś wzejdą obrodzą

Małgorzata Borzeszkowska

Łódź

ta łódź czeka na mnie
na spokojnej wodzie
nie wiem jeszcze gdzie
powinnam popłynąć na Morze
Sargassowe dalej się już nie uda
albo tylko na Hel lub to hell
tam szyprowie w zadymionej portowej knajpie
postawią szklankę wódki i śledzia
potem pokażą drzwi -
biój białkò do lasu
tam twoje miejsce

a ta łódź czeka na mnie
podnosi żagiel
rozwija skrzydła
kiedyś polecę

nareszcie

Małgorzata Borzeszkowska

I nagroda w kat. młodzieży

Rozkwit - wiosna

Szum arkady kwieciste, nieśmiałe nagłym objawieniem do życia pobudza,
Popycha dłonią nadzieją przepełnioną, delikatną tak oraz kruchą,
ostrożną w geście każdym dokładnym - i muska.
I wszystko oczy uśpione otwiera jak natchnione życia pięknem raz kolejny.

Czyż nie warto czasem start wyznaczyć barwą nową?
Zielenią jasną zamalować płótno stare i zniszczone lat tak licznych biegiem,
trudem istnienia słodko-gorzkiego,
powstać na nogi obie i pomknąć ku skarbom najskrytszym świata.

Odżyć, na nowo się zrodzić na natury początkującej świeżym łonie,
nie pozwolić, by porażki smak umysł przejął posmak,
a żyć, żyć wraz z wiosny tchnieniem,
wraz z tańcem ptaków dwóch zwycięstwa.

Weronika Spławińska

Susza - lato

Pola zaschnięte, popękane niczym naczynia porcelanowe,
piętrzą się tak liczne jak obłoki na sklepieniu wymalowanym atramentem,
pozwalają albatrosom zmęczonym po ich błękicie frunąć,
lecz cierpią wciąż z sił obdzierane.

Upał umysł zaćmiewa i źródło tak chętne do bicia nagłym ruchem wysusza,
ciemność tak bliska jasności oczy roziskrzone zasłania,
ciężko zatem ducha pogody nie stracić, gdy susza doskwiera,
ogromna tak jak wielkie są bezkresne oceany.

Zdawać by się mogło, że to koniec, śmierć bolesna i straszliwa,
wargi jednak wciąż zlizują krople wilgotne,
ostatnie, i te dreszcze tak gorące ciało przechodzą zmęczone,
ach, to słońce jest zbyt blisko, zbyt, by źródło wciąż istniało.

Weronika Spławińska

Rozpad - jesień

Ziemia z trwogą drży, gdy liść żółtawy z drzewa chyli się ku ziemi,
choć nadzieją tli się jego krucha, matowa powierzchnia,
bój by ciężko było wygrać tak zdeptanej kreaturze,
wysuszonej i rozdartej na kawałków mniejszych kilka.

Upadek bolesny porusza ciężkie chmury niebios czystych,
deszcz wieczorny, co się stara do życia pobudzić jego skruszoną
powierzchnię,
woła o próbę choćby jedną, krótką, lecz owocną,
o rozkwit, co by serce ponownie uradował zamglone.

Zapomniano jednak o jednym fakcie tak ważnym, kluczowym,
że powierzchnię ma barwną, choć wyblakłą to w kolorze,
a ta żółta jego barwa tli się wciąż nadziei blaskiem,
tym najszczerszym, tak przepięknym i uśpionym chłodnym smutkiem.

Weronika Spławińska

Okiem jurora

17 edycja konkursu literackiego „Powiew weny” – rok 2022

To już siedemnasta edycja konkursu literackiego „Powiew Weny”. Jak co roku ogłosiła go Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Od lat odbywa się on pod patronatem Prezydenta Miasta. Ma charakter otwarty i skierowany jest zarówno do debiutantów, jak i autorów z dorobkiem literackim.

Mottem tegorocznego konkursu był cytat z twórczości Mai Lidii Kossakowskiej: „...na zgliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc”. Ważne słowa i otwierające możliwość do swobodnej interpretacji ich znaczenia. Sugerują przy tym wydarzenie przełomowe w życiu, przemianę duchową, wyciągnięcie wniosków ze zdarzeń traumatycznych i przekucie ich w pozytywne doświadczenie.

Autorzy nadesłanych prac musieli zmierzyć się z cytatem, odkryć jego znaczenie, zrozumieć po swojemu, przystosować wizję własnej twórczości do zadanego tematu. Uczynili to z wielkim zaangażowaniem i pozytywnym skutkiem. Powstały teksty na wysokim poziomie artystycznym, różnorodne gatunkowo – od literatury fantasy po społeczno-obyczajową, która w dużej mierze nawiązywała do wojny w Ukrainie i jej wpływu na nas. Przeważały jednak teksty kameralne, skupione na obserwacji relacji międzyludzkich, które rozgrywają się w wąskiej grupie znajomych, czy rodziny. To ciekawe zjawisko, bo sugeruje wniosek, że motto sprowokowało autorów do wyznań intymnych, skupionych na przemianie jednostki. Dzięki temu powstały opowiadania bogate fabularnie, natomiast liryka postawiła wiele poważnych pytań o sens naszego życia.

Jak co roku nadesłane teksty podzielono na dwie grupy wiekowe. Pierwsza skierowana do młodzieży w wieku od 16 do 19 lat, druga do dorosłych powyżej

20 lat. Podobnie jak w grupie dorosłych tak i w grupie literatury młodzieżowej zostały wydzielone dwie kategorie: prozy i poezji.

W kategorii poezji napisanej przez młodzież, jury postanowiło przyznać tylko jedną nagrodę, pierwszą. Otrzymała ją Weronika Spławińska za wiersze głęboko zanurzone w obserwacji przyrody. To właśnie z przemian pór roku i charakterystycznych dla nich przejawów, poetka czerpie inspirację do przemyśleń nad zjawiskiem odnowy tego co umarłe, odrodzenia tego co wyschłe. Roczny cykl narodzin, rozkwitania, przekwitania i śmierci, zawarty i rozpisany w cyklu natury skłania do refleksji nad przemianami ludzkiej duchowości. Zadziwiająco dojrzała poezja, oparta na przejrzystym języku i wyjątkowym darze obserwacji świata dziejącego się wokół nas.

W kategorii prozy młodzieży jury nagrodziło trzy opowiadania. Warto pochwalić młode autorki nie tylko za sprawność stylistyczną, lecz przede wszystkim za pomysłowość, która stanowiła o atrakcyjności fabularnej poszczególnych tekstów.

Za najlepsze w tegorocznym konkursie jury uznało opowiadanie Amelii Gappy. Tekst jest wstrząsający, rodzaj naturalistycznego studium przemocy domowej. W sposób niezwykle sugestywny ukazuje postacie brutalnego ojca, maltretowanej żony/matki oraz bitego syna. Cała ta traumatyczna sytuacja, mogłaby prowadzić do bezwolnej uległości ofiar, a jednak uczy głównego bohatera czegoś ważnego. Syn, będący jednocześnie narratorem opowiadania, w dorosłym życiu podejmie działania, które wyznaczą społeczny cel, drogę, jaką będzie warto podążać.

Nagrodę drugą otrzymała Maja Werczyńska za opowiadanie pt. „Gdy czas już się nie liczy". To opowieść o przełamywaniu własnych słabości. Podczas podczas pierwszej rozprawy sądowej, którą prowadził młody prawnik, paraliżuje go stres. W dodatku jest to sprawa o prawa rodzicielskie. Jej przegranie skazuje dziewczynkę o imieniu Jadzia na pobyt w sierocińcu. Autorka ukazuje nam psychologiczny portret mężczyzny, który musi poradzić sobie w trudnych momentach życiowych. Pozbycie się lęków stanowi o jego dojrzewaniu, za co nagrodą jest powrót miłości sprzed lat. Opowiadanie napisane klarownym stylem, z precyzyjnie poprowadzoną fabułą.

Miejsce trzecie w grupie młodzieżowej zajęła Aleksandra Jung opowiadaniem pt. „Mahapralaja”. Tekst przenosi nas w czasy starożytnej Japonii. Barwna fabuła ukazuje walki samurajów z europejskimi najeźdźcami. Nowe wypiera stare. Arcyciekawy historyczny fresk, z refleksjami nawiązującymi do mądrości i tradycji dalekiego wschodu.

Pozostańmy przy prozie. Lecz tym razem przeczytajmy teksty osób dorosłych. W kategorii prozy dla grupy wiekowej powyżej 20 lat pierwsze miejsce jury przyznało Monice Kubisiak za opowiadanie, pt. „Zanim odejdę…” Bardzo poruszający tekst. Samobójstwo śmiertelnie chorej Zosi, zmusza jej męża do przewartościowania całego życia. Otrzymujemy opowieść wielogatunkową, gdzie najważniejszy wątek przeplata się z mądrościową przypowieścią oraz listem, z którego główny bohater dowiaduje się o tajemnicy, mającej zmienić jego życie. Prócz obyczajowego bogactwa zdarzeń, siłą tego opowiadania jest sposób przedstawienia historii - wątki odkrywają się stopniowo, co ciągle podsyca zainteresowanie czytelnika.

Drugą nagrodę w kategorii proza otrzymał Dominik Kasicki za opowiadanie „Gloria Victis”. Scenografią tego tekstu jest cmentarz, będący nie tylko miejscem refleksji nad przemijaniem, ale też bezpiecznym kątem dla bezdomnego. Nie wszyscy jednak potrafią uszanować znaczenie tego miejsca, jego ciszy. Jak choćby właściciele charta, którzy bawią się z psem w aportowanie między grobami. Naruszenie sfery sacrum przez profanum, skłania bohatera do reakcji. Punkt zwrotny, który następuje w wyniku jego działania, dorównuje najlepszym dokonaniom nowelistyki. Dominik Kasicki pisze prozę skondensowaną, posiadającą własny rytm. Jej lapidarność sprawia, że nie ma tu zbędnych słów, a każde zdanie jest potrzebne.

Wreszcie trzecią nagrodę za prozę otrzymuje Paulina Salamucha. Swoje opowiadanie zatytułowała mottem konkursu. Sentencja „(…)na zgliszczach najpiękniejszy wyrasta owoc” sprowokowała autorkę do napisania opowieści o przemianie i przeznaczeniu. Rozbudowana fabuła i precyzyjnie nakreślone psychologiczne portrety bohaterów, stanowią jej wielkie atuty. Losy Daniela, który siedział trzy lata w więzieniu za kradzieże i rozboje, splatają się z losami

Amandy. Kobieta zatrudnia go do wyremontowania spalonej kawiarni. Wybaczenie win i czynów sprzed lat, budzi wiarę w drugiego człowieka i szansę, jaką się otrzymuje, pod warunkiem, że podejmie się pracę nad samym sobą. Dobra proza z przesłaniem, lecz nie nachalnym, subtelnie zarysowanym, pozostawiającym czytelnikowi ostateczną ocenę czynów bohaterów.

Na zakończenie kilka słów o nagrodzonej poezji, królowej literatury. W tegorocznym konkursie pierwszą nagrodę za zestaw trzech wierszy otrzymała Hanna Makurat-Snuzik, która zaproponowała dojrzałą lirykę, napisaną szeroką frazą, nawiązującą do spuścizny kultury europejskiej. Poezja ta nacechowana jest akcentami katastroficznymi („*Czarna wojna drapieżnie wystrojona // nadciągnęła równo z napuszczonym wiatrem. // Kwiaty ciężko pachną i łamie się czas.”).* Charakteryzuje ją barwna metaforyka, wywołująca silne emocje. Bliska nurtowi ekspresjonistycznemu (“*bezlistne drzewo strachu umarły rzuca cień, // ciepłota powietrza ciężka jak cierń, czerwień i czerń.”*). Skupiona zarówno na głębokich przeżyciach podmiotu lirycznego, jednocześnie ukazuje rozległą panoramę historycznych tragedii, które mają wymiar zbiorowy.

Drugą nagrodę w kategorii poezja jury przyznało Magdalenie Kubiak. To liryka mocno zaangażowana, a może raczej „przejęta” i nawiązująca do aktualnych wydarzeń (*„w moim świecie wojna // czołgi taranują miłość // hekatomby trupów // składane w ofierze bogini hejtu // nie mieszczą się na ołtarzach ze stali"*). Formalnie i tematycznie momentami czerpiąca ze staro-japońskiego wiersza haiku. Innym razem wykracza poza opisy przyrody, nawiązując do sytuacji wojennej, przez co przypomina pacyfistyczny manifest. Równocześnie proponuje intertekstualną grę z Szekspirem, wciąż nawiązując do sytuacji wojennej (*„Na zgliszczach Elsynoru // Ciemnego świata // Gdzie wszystkie mury pod strażą”*). Poetka jest w pełni świadoma nawiązań do liryki światowej, jak i własnej wizji poetyckiej.

Trzecią nagrodę otrzymała Małgorzata Borzeszkowska za zestaw wierszy, który możnaby nazwać liryką przetrwania i nadziei (*“tylko przetrwajmy ten wyciek mgły i ognia // wykiełkujemy // słońcem”*). Obrazy pesymistyczne niekiedy znajdują rozwiązanie optymistyczne. W wierszach tych dominuje wątek odrodzenia nawet z najcięższej sytuacji życiowej. Ale jest też pesymizm koszmaru

wojny, gdzie ofiarami są między innymi synowie ukraińskich poetek. Stali się oni żołnierzami, którzy giną. A jednak i ich śmierć może być nowym początkiem (*"deklamujemy ich imiona jak Iliady // rozsypujemy jak nasion podlewamy modlitwą // kiedyś wzejdą // obrodzą"*). Liryka Małgorzaty Borzeszkowskiej jest w pełni ukształtowana formalnie. To dojrzała poezja, gdzie refleksja nad przemijaniem staje się pretekstem do kontemplacji sytuacji właśnie się dziejącej.

Tegoroczna edycja wejherowskiego konkursu literackiego "Powiew weny" obfitowała w ciekawe teksty prozatorskie i poetyckie. Ale zasady konkursu są jasne. Jury musi wybrać prace najlepsze. Poza wartością artystyczną poszczególnych zestawów wierszy oraz opowiadań, brano też pod uwagę ich odniesienie się do motta przewodniego. Cytat Mai Liddi Kossakowskiej wymagał od autorów dużej spostrzegawczości społecznej, a jednocześnie wnikliwości emocjonalnej. Nagrodzone teksty są tego najlepszymi przykładami. Ci, którzy chcą się o tym przekonać, powinni uczynić prostą rzecz. Otworzyć kolejne stronice i przeczytać nagrodzone prace. W imieniu jury, życzę im, by mieli tyle samo wzruszeń, reflekcji, ale też i zabawy, jaką miał zespół oceniający nadesłane opowieści i metafory.

Daniel Odija

SPIS TREŚCI

Krzysztof Hildebrandt - *Drodzy Czytelnicy* 3

WYNIKI KONKURSU 5

Monika Kubisiak - *Zanim odejdę…* 7

Dominik Kasicki - *Gloria Victis* 14

Paulina Salamucha - *Przebaczenie* 17

Amelia Gappa - *bez tytułu* 28

Maja Werczyńska - *Gdy czas już się nie liczy* 33

Aleksandra Jung - *Mahapralaja* 40

Hanna Makurat-Snuzik - *Nie można wierzyć synoptykom, Nieustraszone kwiaty, Cień gra w ciemno* 44

Magdalena Kubiak - * . *, J*uż nie haiku choć jesienne, Za kratami słów* 50

Małgorzata Borzeszkowska - *Koci pazur, Składy,* * . * 53

Weronika Spławińska - *Rozkwit - wiosna, Susza - lato, Rozpad - jesień* 56

Daniel Odija - *Okiem jurora* 59

Laureaci XVII Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny 2022“ z Prezydentami Miasta Wejherowa i Dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

ISBN 978-83-940674-7-2